

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

ROK I

WARSZAWA 9 GRUDNIA 1945

Nr. 3

Witold Bińkowski

POSTAWA WALKI

1. PRAWA ZDOBYWCÓW.

Czołowy ideolog i szermierz marksizmu, Stefan Żółkiewski, przyjmuje ostatecznie postawę tak zdobywcę, tak jest pewny zwycięstwa, że nie tylko neguje możliwość istnienia dyskusji, prowadzonej nie w marksistowskim języku („Odrodzenie“ Nr 51, art. „Głos marksisty“), nie tylko odrzuca „język katolicki“, nazywając go językiem sprzed stu lat, ale w swej postawie zdobywcy i zwycięzcy popełnia tak zasadnicze błędy, że zwycięstwo marksizmu w Polsce czyni bardzo problematycznym.

Wystarczy zestawić dwa artykuły Żółkiewskiego. Jeden zamieszczony w 12 nrze „Kuznicy“ p. t. „Próba diagnozy“ i drugi w „Odrodzeniu“ Nr 51, „Głos Marksisty“.

W swej „Próbie diagnozy“ (18 listopada) w 10-tym punkcie tej pracy „Rachunek sumienia“ Żółkiewski pisze: „Ruch lewicowy w Polsce zawsze był ruchem mas, inteligenci tkwiący w nim, byli nieliczni, zwłaszcza jeżeli idzie o ludzi z wyraźnym autorytetem społecznym. Stąd wystąpienia ideologiczne naszej lewicy były rzadkie i niesmiałe. Tymczasem walka o inteligencję, to walka ideologiczna. Jej powodzenie zależy od zdecydowania, nasilenia, śmiałości ofensywy ideologicznej. Otóż i dziś jesteśmy nadal niesmiały i bezbarwni. Trzeba nam wystąpić odważnie, jasno, atrakcyjnie“.

W swym „Głosie marksisty“ (18 listopada) Żółkiewski stwierdza krótko i bezapelacyjnie: „kto wybrał marksizm — katolicyzm musi odrzucić“.

Zestawienia obu artykułów, umieszczonych w dwóch pismach pod tą samą datą, wywołuje wrażenie dość dziwne. Nie sposób bowiem przypuścić, że prace swe Żółkiewski pisze bezplanowo. Nie sposób sądzić, że Żółkiewski ocenia „Kuznicę“ i „Odrodzenie“ jako pisma trafiające do różnych środowisk, nie sposób wreszcie łatwo i złośliwie ocenić tych dwóch prac Żółkiewskiego, jako wyniku pomyłki.

Trzeba przyjąć jedno i tylko to: — walkę o inteligencję i zapowiedziane odważne, jasne i atrakcyjne wystąpienie marksizmu Żółkiewski rozpoczyna od końcowego, efektownego ultimatum: aut-aut.

Żółkiewski może się czuć zwycięzcą. To jego prawo. Samo poczucie zwycięstwa nie posiadało jeszcze nigdy wartości bezwzględnej. Zwycięstwo bowiem istnieje tylko wówczas, gdy są pokonani.

A tymczasem istnieje walka. Bo chociaż napisano niedawno w „Tygodniku Powszechnym“, że przez ogłoszenie dekretu o reformie prawa małżeńskiego katolicy ponieśli klęskę — to dodano jednocześnie, że klęska ta może być przyczyną odrodzenia i zwycięstwa katolicyzmu.

Istnieją pewne życiowe prawa, prawa których nie zmienia Żółkiewski z całym autorytetem powoływania się na niewątpliwe powagi naukowe Marksa, Lenina, Rickerta i Carnapa, Böhlera i Kuryłowicza.

Istnieją prawa walki, a wśród tych praw najtrudniejszymi są prawa zdobywców. Nie zawsze bowiem milczenie przeciwników oznacza ich klęskę, a już nigdy nie jest zwycięstwem próba wspólnego odcięcia się od rzeczywistości przez stwierdzenie: — znam cię i znam twoje prawdy dopiero wówczas, gdy przyjdiesz do mnie.

Czy my się nawzajem mamy przekonywać, panowie marksiści? Wam przecież na tym nie zależy. Przekonywanie w dziedzinie ideologicznej, jeśli jest ogła-

szane w formie wypowiedzi publicystycznych, posiada przede wszystkim cel taktyczny. Jest obliczone na działanie tak rozległe, zależne od zasięgu pisma, że powiedzieć trzeba wyraźnie: — walka intelektualno - ideologiczna ma wytwarzać pewien klimat, ma przyczynić się, a nie stanowić o zwycięstwie.

I dlatego powtórzyć należy, że prawa zdobywców są najtrudniejszymi prawami. Łatwo jest bowiem mieć poczucie zwycięstwa, łatwo jest wydawać autorytatywne orzeczenia — niezmiernie jednak trudno jest osiągnąć istotne zwycięstwo.

Walka trwa. Wypowiedzi Żółkiewskie ożywiają ją i potęgują. Żółkiewski jest bezwątpienia jednym z tych czołowych ludzi, którzy przez swój wkład do walki czynią epokę ciekawą i pełniejszą przeżyć. Więc dlatego o nim jest mowa, gdy myśli się i pisze nie o sporze, ale o walce między katolicyzmem i marksizmem w obecnej Polsce.

2. JĘZYK TWARDY I TRUDNY.

Ksiądz Piwowarczyk w swoim cyklu rozważań o marksizmie nie użył także odpowiedniego języka. Marksisci go nie rozumieją. Nie rozumieją go przede wszystkim ci, dla których cykl był przeznaczony. A był, a musiał być przeznaczony dla tych samych, do których tak kategorię przemawia Żółkiewski.

Język ks. Piwowarczyka jest zbyt łatwym językiem, choć go marksisci nazywają zeszlowiecznym. W walce ze zdobywcym marksizmem nie wystarczy bronić zagrożonych pozycji. Każda twierdza po przeciągającym się oblężeniu upadnie.

Język katolicki musi być tak trudnym i jednocześnie tak prostym, aby nie bronił, lecz zdobywał. A istota walki ideologicznej nie polega już dzisiaj na publicystycznym rozważaniu prawd, zawartych w Biblii, czy w „Kapitale“ Marksa. Prawdy te mogą być apostołowane przez kadry ludzi, którzy nie z publicystyki ich się uczą. Apostołowanie prawd Pisma Świętego odbywać się musi językiem tak prostym i tak trudnym, jak prości są ludzie i trudne, skomplikowane czasy obecnej walki.

Cóż z tego, że powoływać się będziemy obustronnie na całe szeregi wielkich i świetnych nazwisk - autorytetów? Cóż z tego, że napiszemy tak, jak Żółkiewski, że „mogę tylko odejść do odpowiednich źródeł. Trzeba się uczyć, przemiął więc złoty“?

Co tysięczny czytelnik naszych artykułów do jednego z podanych źródeł może zajrzy — a nam pozostanie tylko zachwyt nad własną erudycją.

To jest zbyt łatwy język — język cytata, źródła i teoretycznej mądrości. Katolicyzm walczący — to katolicyzm zdobywcy. W jakim sensie? W sensie zatrzymania ludzi odchodzących. Powiedzieć trzeba prosto: — wielu odchodzi, bo zagrożone są pozycje katolicyzmu. Wielu stoi niezdecydowanie, porównując siły walczących. Wielu wreszcie oczekuje, oczekuje chętnie i świadomie, aby wcielić ich w kadry walczących, aby pokazać im i udowodnić, że warto uczyć się prawd Ewangelii, bo w nich zawarte są wszelkie nauki i rady na uzdrowienie i uporządkowanie świata.

Język katolicki jest trudnym językiem. Bo trudno zrozumieć naprzykład, że nie ma w nim ani jednego słowa odpychającego, a wszystkie zdania i sformułowania wyrażają jedno, odwieczne Chrystusowe pragnienie: — Pójdźcie do mnie wszyscy.

Język katolicki jest językiem twardego. Ocena bowiem człowieka nie podług jego błagań się, upadków i nawet czynów — ale podług jego intencji. Twarde słowo odpychające istnieje tylko dla tego, kto odchodzi świadomie i znając Prawdy wieczne, porzuca je dla przemijających.

To, że w języku katolickim istnieje wiele słów odrzucanych i wysmiewanych — nie jest wynikiem jego zeszlowieczności. Bo Bóg nie bankrutuje. Bankrutują ludzie, którzy od Boga odchodzą. A „zeszlowieczność“ języka katolickiego nie polega na tym, że operuje słowami Bóg, dusza, nieśmiertelność, miłosierdzie i wieczna sprawiedliwość.

Jeśli istnieje w obecnej walce odrzucanie tych słów i tych pojęć — to tylko dlatego, że wymawiający słowo Bóg nie zna Boga, mówiący o duszy nie wiedzą o jej istnieniu, deklamujący o mi-

sierdziu nie są miłosierni, a słowa o sprawiedliwości nie budują sprawiedliwie świata.

I tylko to sprawia, że katolicyzm broni dziś swych redukt. Tylko to daje marksizmowi przedwczesne poczucie zwycięstwa.

POZNANIE RZECZYWISTOŚCI.

Uporczywe tkwienie w teorii jest dzisiaj zgubne tak dla katolicyzmu, jak i dla marksizmu. Bo jeśli komukolwiek zdaje się, że znajdzie radę dla uzdrowienia życia i stosunków społecznych przez samo głoszenie haseł — jest w takim samym błędzie, jak ten, który uważa, że przez propagowanie Manifestu Komunistycznego lub encykliki Rerum Novarum spełnia swój obowiązek apostołowania.

Slogany tytułowe „Kuznicy“ i barwne nalepki P. P. R.-u na ruinach Warszawy spełnić mogą zupełnie to samo zadanie, co oderwane od rzeczywistości dewocyjne broszurki katolickie. Ucieszą i dodadzą pewności siebie tym marksistom i katolikom, którzy nie widzą problemów.

W walce katolicyzmu z marksizmem poznanie rzeczywistości jest pierwszym i zasadniczym warunkiem zwycięstwa.

Jeśli zostało stwierdzone, że bankrutstwo ludzi, wyznających zasady katolickie, wywołało, wzmogło i podparło ofensywę marksistowską — trzeba konsekwentnie wyciągnąć odpowiednie wnioski, domagające się rewizji społecznej działalności katolickiej i zreformowania tej działalności w sposób, wyrażający marksizmowi atuty zdobywcze.

Powiedziano: — „nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij“. Powiedziano: — „miłuj bliźniego jak siebie samego“.

Stwierdzono: — zabójstwa, cudzołóstwa, kradzieże. Stwierdzono: — nienałość, walkę człowieka z człowiekiem.

Powiedziano: — „napełniajcie ziemię i czynicie ją sobie poddaną“.

Stwierdzono: — chciwość, wyzysk, niesprawiedliwość.

Konflikt i sprzeczność między nakazanym a rzeczywistym jest nie tylko sprawą konfesjonalną. Posiada bowiem te aspekty społeczne, które domagają się, poprostu życiowo domagają się, przetransponowania zasad, obowiązujących jednostkę, na grunt społeczny. Stąd odwieczne wysiłki i zadania katolicyzmu w dziedzinie społecznej. Stąd niemożność ograniczenia działalności katolickiej do murów kościoła.

Poznanie rzeczywistości nauczy marksistów polskich jednego: — łatwiej jest budować na tym, co jest, niż tworzyć coś nowego. Stąd winien płynąć wniosek prosty — katolicyzm w Polsce ma więcej szans zwycięstwa, jeśli potrafi zorganizować i wytworzyć w Polsce typ katolika i katolicki styl życia społecznego.

Ofensywa marksizmu w Polsce już się przyczynia do przygotowania kontrofensywy.

Jeśli katolicy polscy zrozumieją konieczność radykalnego i rewolucyjnego przekształcenia w sposób konsekwentny dotychczasowej wygodnej postawy w stosunku do zagadnień społecznych, jeśli dążenie do sprawiedliwego podziału dochodu społecznego uznają za zadanie, jeśli istnienie proletariatu przeżyją osobiście, jako wołającą o pomstę do nieba niesprawiedliwość, jeśli katolicyzm społeczny wywiodą do pierwszej linii walczących o równe prawo do życia dla każdego człowieka, jeśli wreszcie uznają za zbrodnię wszystkie przestępstwa kapitalistyczne — kontrofensywa zakończy się zwycięstwem.

Kazimiera Iłłakowiczówna

Boga żywego z piersi ziemi zastygłej

Nie naszej grozie i naszej boleści!

zetlałem truchłem żółty liść szeleści,

nie nam pieje wiatr, ale — wiośnie

coraz wierzbowiej i coraz pierwiośniej.

Nie po nas płacze i nie nas rwie w strzępy

śnieg z deszczem głupi, zajadły i tępy,

ale gdy rylcem rolę mokrą kreśli,

rośnięcie czuje i o żniwach myśli.

Kamieniami o lód wali potok,

nie w nas, nie w naszą tęsknotę,

ale z piersi ziemi zastygłej

Boga żywego sili się wydzwignąć.

(Z „Antologii poezji polskiej 1939-1945“).

Nie chodzi tu bynajmniej o sprawę politycznego ustawienia tego dążenia do zwycięstwa. Chodzi o sprawy niezależne od koniunktury politycznej. Bóg nie stworzył praw wstecznych, Bóg dał prawa ładu i pokoju, Bóg wreszcie powołał Kościół swój i zapewnił Mu wieczność. Ewentualna przegrana katolicyzmu w Polsce, to nie koniec Kościoła. To tylko koniec kościoła w Polsce. Odpowiedzialność za ten ewentualny koniec, za świętynie bez wiernych, za ciszę dzwonnów kościelnych, za odejście Boga fizycznie obecnego — odpowiedzialność przeżająca nie może dopuścić myśli o klęsce.

Poznanie rzeczywistości musi dać siłę do walki. Walki z marksizmem? W przedstawionym wycinku rzeczywistości walka z marksizmem może być tylko drobnym, widocznym ułamkiem istotnej walki o typ katolika i styl życia katolickiego w Polsce.

4. REWOLUCJA POJĘĆ.

Względy natury politycznej przesłaniają obecnie cel walki katolicyzmu. Nie byłoby bowiem zwycięstwa, gdyby dokonać się ono miało w dziedzinie politycznej.

Trzeba powiedzieć bardzo wyraźnie: — zwycięstwo polityczne, postawione jako cel walki, zepchnęłoby w cień cele bardziej istotne. Wielkie źródło odrodzenia wyschłoby, jak wysycha w stepie jezioro, powstałe z przelotnego deszczu. Po takim jeziorze pozostaje brudna kałuża.

Walka o uzdrowienie stosunków w Polsce może się dokonać tylko za cenę całkowitej i pełnej rewolucji w dotychczasowych pojęciach katolików.

Pierwszą z cech tej rewolucji musi być przestawienie z doraźnych, koniunkturalnych zagadnień politycznych na zagadnienia tego typu, dla których żaden reżim nie posiada siły wiążącej lub nęcającej. Jest to zadanie trudne, posiada jednak znaczenie najbardziej istotne dla katolickiego ruchu odrodzeniowego.

Jeśli bowiem dzisiaj dla pewnych wyobrażeń przyszłości poszukuje się u katolików rozwiązań typu przede wszystkim politycznego — trzeba to określić, jako uporczywe tkwienie w starym sposobie myślenia społecznego.

Postawa buntu nie jest postawą bierną, może dać wyniki twórczego wkładu. Ważnym jest jednak, aby bunt skierowany był w stronę złych urządzeń społecznych, a nie w stronę koniunkturalnych układów politycznych.

Wiązanie społecznych zadań katolicyzmu z koniunkturą polityczną czyni te zadania tak bardzo jałowymi, jak nieproduktywnymi są obecne dyskusje teoretyczne z propagatorami marksizmu.

Rewolucja pojęć, to przede wszystkim zrewidowanie dotychczasowego wkładu katolików do reformy urządzeń społecznych, to zdanie sobie sprawy z faktu, że dotychczas katolik polski nie odróżniał się niczym w życiu społecznym od niekatolika. Że nie był tym, co najważniejsze, który wkładał wysiłek całego życia w czynną walkę o sprawiedliwość społeczną.

5. BŁĘDY.

Najłatwiej byłoby mówić o błędach politycznych. Byłoby to jednocześnie najbardziej fałszywe wiązanie katolickiego ruchu społecznego z tymi środowiskami politycznymi, które posiadają niesłuszną markę reprezentatywnych środowisk katolickich.

Gdy myśli się o popełnionych błędach, to właśnie jednym z najbardziej zasadniczych był brak jasnego, zdeklarowanego i faktycznego odcięcia katolickiego ruchu społecznego od wykładowców politycznych, reprezentujących pewne części katolików polskich.

Nie tylko błędy polityczne tych środowisk ciąży na katolickim ruchu społecznym. Cięży na nim brak bezpośredniego i planowego ustawienia się w stosunku do zagadnień ustrojowych i społecznych. O ile bowiem w przedwojennej Akcji Katolickiej były rozważane i propagowane zasady radykalnej zmiany stosunków społecznych, o tyle realizacja ich była pozostawiona programom politycznych stronnictw, w których skład wchodził katolicy. Radykalną katolicką myśl społeczną pozostawiono w dziedzinie realizacyjnej koniunkturze układów międzypartyjnych.

Wywołało to w skutkach ten stan rzeczy, że właściwie katolicy nie byli spo-

zecznie wychowywani. Zasady katolickie pozostawiono różnej interpretacji, zależnej od linii programowej i gry taktycznej różnych stronnictw.

Gdzie miała się uformować zwarta postawa katolicyzmu społecznego? Gdzie radykalizm społeczny wskazał Leona XIII i Piusa XI, które przecież nie były realizacyjną receptą szczegółów dla każdego narodu i państwa, mógł wytworzyć naszą polską, zgodną z naszymi warunkami i potrzebami, interpretację?

Katolicyzmowi społecznemu w Polsce zabrakło siły uderzeniowej. Dzisiaj ta siła jest konieczna. Istnieje. Potencjał katolicyzmu społecznego w Polsce jest olbrzymi. Zaczął powstawać już wówczas, gdy w okresie międzywojennego „polskiego karnawału“ tłumy biernych polskich katolików stawały na boku, lub odchodziły do nocnych spelunek „zabawy“.

6. ZEJDŹMY Z WYŻYN.

Dzisiaj oczywiście człowiek uczciwy nie bawi się i nie szaleje. Nie ma pieniędzy, ani chęci. Uczestniczy natomiast w innej, kulturalniejszej, zabawie. Czyta liczną prasę polską i wielu rzeczy nie może zrozumieć. Przede wszystkim niezmiernie górnego tonu wypowiedzi ideologicznych.

Ton ten nie stoi w żadnej proporcji do zadań chwili. Czytelnik musi przestać bawić się lub nudzić. Nie może zbyt długo wyczekiwać na to, kto ma słuszość. Znudzi się i odejdzie.

Dokąd?

To pytanie musi nas łączyć, panowie marksieści. My chcemy, żeby nie odchodził, ale przyszedł do nas. Wy macie to samo pragnienie.

Ideologicznie nie pogodzimy się nigdy. To pewne. Możeby jednak warto było zdefiniować jedną „małą“ sprawę.

Wydaje się, że w dziedzinie reformatorsko-realizacyjnej stosunków społecznych wiele nas łączy, choć z różnych pobudek do tej sprawy podchodzimy i różnymi ideologiami legitymujemy się.

Trwa między nami walka. Chcemy jednak wspólnie: — sprawiedliwości społecznej, ładu i porządku. Walczymy z korupcją, złodziejstwem, morderstwami i nienawiścią.

Spróbujmy innych sposobów propagowania słuszości naszych tez. Oprzyjmy je na odpowiedzialności człowieka.

My sięgamy do jego poczucia moralności, do jego obowiązku wyciągnięcia wszystkich konsekwencji z wyznawanej wiary. Mówimy mu wyraźnie o obowiązku ratowania zagrożonego katolicyzmu w Polsce, odwołujemy się do jego sumienia i do jego rozumu.

Tłumaczymy: — w wielkich przemianach świata, idącego ku radykalnym i rewolucyjnym rozwiązaniom socjalnym i ustrojowym, pierwsze miejsce należy się tym, którzy w śmiałej społecznej interpretacji Prawa Bożego mogą sięgnąć po zwycięstwo. Historia Kościoła wśród swych najpiękniejszych kart ma i takie, które o ideale życia społecznego chrześcijan z przed dwóch tysięcy lat mówią.

Witold Bienkowski

Zdzisław Chmura-Stroiński

ŻYCIE

Tylko przed świtem widać było jak deszcz gwałt wierzby i łoży nad wodą splecioną skrzydłem wracającej sowy.

Ale to już dawno, gdy ziemia wyrzuciła z siebie krzyk i płomień, który zburzył domy i chorągwie.

Pamiętasz, poległy przyjacielu? — krzyk i płomień gaś w dłoniach rozwarłych — nocą wznosiły się strzały ostatnie, jak srebrne bańki powietrza z ust tonących.

Niebo płynęło wtedy głębokie i spokojne, a gotyckie żdźbła trawy pochylały się blisko, coraz bliżej, już w oczach.

I umrzeć było tak łatwo — tylko dniem w dym i słońce się pochylić, tylko nocą gwiazdy coraz chłodniejsze dłonią z czoła odgarnąć.

Domy pękły i posypały się w gruzy popielate i pomarańczowe — sprzątnięto je — na tym miejscu w sklepieniu na prędcie sklepikach prądkowany grzebień szczyrzy zęby w krzywym uśmiechu i świeci łysy pagórek cebuli. Pod murem rząd kosów z chlebem i bułkami.

Idą ludzie ulicą, na których krzemień i asfalt już tylko.

Więc umierać jest trudno. — Tam, gdzie rozebrano barykady, wyrósł las pomidorów i poranny krok robotników grzechocze po wymytych mgłą płytach i ostry głos trąbki samochodowej strzela z pędzącej na obławę kolumny.

Z amarantowych płatów dźwięku, niespokojnych, jak chorągiew, znów krzyk i cisza ścieka na ulicę, na której kamień i asfalt już tylko. — Więc umierać jest trudno. Bo pod wysokim sklepieniem salwy życie jest proste jak śmierć.

Przyjacielu, padając pod łuk salwy — uważaj, nie uderz głową o kos z chlebem.

Warszawa, 1940.

Marian Jedlicz

Cząstka własnej winy

Każdy problem społeczny sprowadza się zawsze do jednego. Nie można budować na lotnych piaskach. Fundamentem zawsze jest człowiek. Nowy ustrój zyskuje sens i treść tylko przez realizację w człowieku. Bez wcielenia w człowieka, każda idea pozostanie abstrakcją.

Po uprzedniej wojnie światowej nastąpiła orgia dancinów. Dzisiaj mamy orgię szabrownictwa, rozpasania gorączkowej żądzy zysku i najbrutalniejszej w formach spekulacji. Obok szabru i spekulacji podnoszą się złodziejstwo i łapownictwo. Ukazujące się raz po raz listy gończe za złodziejami grosza publicznego pozostaną na zawsze smutnym świadectwem epoki. Wiemy, jakie to przybiera rozmiary, że nie jest przesadą mówienie o wielkim niebezpieczeństwie narodowym. Bo klęska demoralizacji nie jest niestety, zjawiskiem powierzchownym, bo płynie z dekadencji psychicznej, spowodowanej wyczerpaniem wojennym, załamaniem się wielu porządów i nadmiarem okrucieństwa.

Byliśmy dumni, szczyliciliśmy się, że wśród ogromu klęsk zachowaliśmy nieskalaną godność i nieugiętą moralną postawę, imponderabilia, których nasz naród zawsze tak ofiarnie i zazdrośnie strzegł. A dziś naprawdę ze strachem myśleć zaczynamy, że orgia demoralizacji przybiera takie wymiary, że stawia pod znakiem zapytania dobre imię Polski.

A przecie są liczne obozy ideowe, głoszące hasła bardzo wzniosłe. „Po owocach ich poznacie je“. Pytamy przeto: gdzie są wasi ludzie? Bo ratunkiem może być tylko człowiek — mocny i prawy człowiek. Tamą rozpasania może być tylko człowiek o mocnym charakterze. Lawinę szabrownictwa i żądzy materialnej pokonać, powstrzymać mogą ludzie wewnętrznie silni. Dlatego pod adresem obozów ideowych w Polsce paść musi pytanie jedynie istotne: gdzie są wasi mocni ludzie?

Czasy szczególne wymagają ludzi szczególnych, na miarę epoki. Gdzie są „giganci“ nowej, stającej się Polski? Czasy są twarde, jeszcze w Europie pachnie surową krwią i ludzi potrzeba silnych a czystych. Ewangeliczne: „Cóżście wyszli widzieć na puszczy? Czy trzcinę od wiatru się chwiejącą, czy człowieka w miękkie szaty obleczonego?“

Gdzie są wasi mocni ludzie? Pytanie to zwraca się do wszystkich i do wszelkich odcieni rządzącego obozu demokratycznego, jak i do obozu katolickiego. Ludzie tacy przecie są. Lecz czy są zbyt mało liczni, czy zbyt słabi? W Polsce za mało czuć mocnego a uczciwego człowieka. A sprawa to najważniejsza sprawa podstawowa. I sprawy tej się w Polsce nie docenia.

Odpowiedzialność spada na nas wszystkich i naiwne jest odrzucenie jej jak piłki na stronę przeciwnika. A proste wyznanie mea culpa będzie więcej twórcze, niż tylko wypominanie grzechów i

słabości przeciwników ideowych. A im więcej obóz własne Credo ideowe ocenia, tym większe sobie stawiać musi wymagania. Lecz owe mea culpa przychodzi najtrudniej.

Sławna jest książka Alexis Carel „L'homme inconu“ („Człowiek istota nieznaną“). Carel stwierdza tam, że przezwyciężenie obecnej dekadencji kulturalnej możliwe jest tylko przez wychowanie nowego człowieka. Człowiek ten łączyć winien prawdziwą tężyznę fizyczną z prawdziwą głębią moralną. A głębia moralna możliwa tylko na tle prawdziwej religijności. Podkreślamy: — prawdziwej. Epoka dekadencji wytrzymała mnóstwo surogatów, paliatywów, „ersatzów“, czy jak to nazwiemy. Dała surogat moralności w postaci konwenansu, surogat religijności w rodzaju różnych płytkich estetyzujących przyżyć pseudoreligijnych. Carel mówi o prawdziwej mistyce — jak w średniowieczu. Proste lapidarne wnioski, prowadzące człowieka w głąb jego własnej istoty. Człowiek musi się stać sobą, stanąć na nogach, obudzić z atrofii władze duszy i ciała.

Tego nie rozumieją ludzie naszego obozu „postępowego“. Chcą budować indywidualność ludzką, wychowywać człowieka, bazując na świeckiej moralności, chcą silnego człowieka, ośmieszając i wykreślając słowo „asceza“. Czy pełne wychowanie społeczne da się pomyśleć bez samoograniczenia obywatela? A samoograniczenie to właściwie asceza. A dalej, czy możliwe jest bohaterstwo służby społecznej bez osobistej ofiary? A ofiara i asceza wymagają czegoś więcej niż motywy społeczne. Stała postawa ofiarna i bohaterska, dawanie siebie innym w szarzyźnie dnia powszedniego, w zapoznaniu i zapomnieniu, wymagają motywów dalszych, niż solidaryzm społeczny, możliwe są tylko w płaszczyźnie ducha. Dlatego byli bohaterowie wojenni o postawie moralności świeckiej, lecz jakże trudno byłoby im zastąpić szarytkę lub misjonarza, pielęgnowającego trędowatych.

Foerster powiada: „Tam, gdzie mówimy „Bóg“ zamiast „ja“, gdzie naprzód się modlimy, a potem pracujemy, wszystko się odmienia, wszystko jest inaczej: tam upłynniając się siły ukryte poza suchą maszynerią życia, wszystko, co było dotąd bezsensowne, staje się zrozumiałe i jasne. Każde cierpienie staje się celowe, ustaje ślepy napór siły i spraw drugorzędnych, a to, co najważniejsze zajmuje z powrotem pierwsze miejsce w naszym, nagle uporządkowanym życiu; wtedy człowiek może być sprawiedliwy, może każdemu oddać co się każdemu należy, bo wtedy nie opiera swych sądów na rozgoryczeniu i namiętności, wtedy odwracając wzrok od własnej ważności zaczyna uważnie słuchać drugich, wtedy służy, zamiast usług wymagać, wtedy zamiast oszukiwać trwa wiernie w raz obranej rzeczowej pozycji, wtedy tworzenie pokoju, szerzenie pokoju staje się jego potrzebą i namiętnością, wtedy rzeczy niewidome stają się widomym równie, wtedy człowiek staje się panem życia, natury i techniki i wtedy przezwycięża to przekleństwo, które tak widocznie ciąży na działaniach człowieka — zwierzęcia...“

Nie piszemy, by kogokolwiek nawracać. Bronimy natomiast tezy, że asceza religijna jest naturalnym podłożem moralności, że na tym gruncie wyrastają najobfitsze — jeżeli nie jedyne — przejawy integralnej ofiarności i służby bliźniemu.

Dlatego niezrozumiałą jest gorączkowe pośpiech, z jakim pewne sfery postępowe usiłują spowodować wyeliminowanie wychowania religijnego i uniemożliwienie wpływów Kościoła na młodzież. Widzimy w tym przejaw nihilizmu. Lecz odbiegliśmy od głównej linii rozważań.

Pytanie, na początku przez nas postawione, musi wrócić rykoszetem do całego obozu katolickiego i do nas samych: Gdzie wasi silni ludzie? Gdzie jest wasz wpływ moralny na społeczeństwo

skie? Dlatego piszemy to w formie głósnego myślenia, jako rachunek sumienia.

Spotyka się katolików, którzy mówią: „Oni“ teraz rządzą, nie my. Niech „ich“ o to głowa boli, niechaj pokażą, jak umieją porykać się z demoralizacją i rozpasaniem spekulacyjnym, zobaczymy, czy potrafią opanować sytuację. My jesteśmy w opozycji. Rozprawienie się z tego rodzaju stanowiskiem społecznym i anarodowym jest nader łatwe i nie wymaga tracenia wielu słów. Grzech absencji społecznej jest łatwy do pokonania. Lecz sprawa nie jest tak prosta.

Mówmy bez ogródek. Fali deprawacji moralnej nie sprzeciwiło się żadne silne ciśnienie ze strony obozu katolickiego w Polsce. Przynajmniej ciśnienie dostatecznie silne, by przeciwstawić drugi prąd społeczny, oczyszczający atmosferę. Wskazuje to, że zjawisko apatii i depresji objęło też obóz katolicki. Pomijamy tu pracę czynnych zakonów i liczne pojedyncze przejawy indywidualnego bohaterstwa. Lecz żadnych przejawów, któreby jako szerszy nurt moralny określić można. W przodujących sferach inteligencji katolickiej te same objawy zmęczenia i osowienia z dodatkiem zrozumiałego może akcentu rozgryczenia. Na tym tle łatwa tendencja uciekania przed odpowiedzialnością. Stanowisko bezbarwne, letnie.

Nie chodzi o żadną akcję polityczną katolików, ani nawet o żadną konkretną robotę społeczną, bo to są sprawy dalszego planu i z zasadniczym nurtem życia katolickiego nie związane. Ale brak przejawów mocnej sugestii ideowej, brak ofensywy moralnej w duchu chrześcijańskim, to są już sprawy idące do dna, wchodzące w istotę rzeczy.

Gdy w średniowieczu Europa katolicka znalazła się w okresie niebezpiecznego impasu moralnego, Papież Inocenty III miał sen, w którym ujrzał sylwetkę człowieka, podtrzymującego walące się mury bazyliki rzymskiej. I człowiek taki się zjawił. Był nim biedaczyna z Asyżu — brat Franciszek. I biedaczyna z Asyżu stał się promotorem ruchu ideowego, który nowe żywotne soki obudził w organizmie Kościoła i dał ludzkości nowe siły moralne. I czymże był Franciszek? — zwykłym żebrakiem. A jakie były środki, którymi działał? — obiegał miasta Italii, nauczał, karcił, zaklinał, prosił i zapalał ogień nowego odrodzenia moralnego. Albowiem obiegał miasta Italii w szaleństwie miłości.

W ciężkiej i pochmurnej dobie, po spustoszeniach drugiej wojny światowej, nie wydaje się, aby katolicyzm miał wydać ze siebie ruch odrodzenia moralnego na podobieństwo tamtego.

Nie wypowiadamy tego w formie zarzutu, bo zresztą zarzut uderzałby i w nas samych. Po prostu stwierdzamy fakt. Katolicy polscy nie wydobyli ze siebie sił moralnych równomiernych do ogromu świętości źródeł, z których pokarm duchowy czerpią. — Nie stali się załóżkami wielkiego zrywu moralnego. Są letni i bierni. Zatracają się wśród zmaterializowanego i brutalnego otoczenia.

Mówimy o tym głośno, wierząc w nie-spożyte siły duchowe Kościoła i patrząc z ufnością w przyszłość. — Ale fakty tutaj podsumowane mówią jasno, że problem przełomu moralnego wśród katolików polskich jest sprawą otwartą. Tak sprawa jest otwarta i wszelkie niedomówienia są naiwną ucieczką przed prawdą.

A prawdą jest, że Polska zrywu także potrzebuje. — Czeka na niego. I nie usprawiedliwiamy się warunkami politycznymi. Jest tylko problem woli ze strony samych katolików. Problem przewyciężenia marazmu. Problem tak trudny w środowisku inteligencji naszej, wsiąkniętej w atmosferę przedwojennego burzącego bytowania.

Ten problem woli istnieje i zaciemniać go nie wolno.

Usprawiedliwianie się, że „oni“ rządzą, więc na nic nasze wysiłki, jest prostym kłamstwem. Jest wiele do zrobienia, wiele do wygrania. Także i wobec „nich“.

Słów tych nie piszemy w formie apelu. Oceniamy tylko możliwości dotąd nie wykorzystane. Są katolicy, którzy twierdzą dzisiaj sens ma tylko akcja polityczna. Nie będziemy kwestionować ce-

lowości stronnictw politycznych mocno na gruncie katolickiego poglądu na świat się opierających, ale czyż się nie zapoznaje zadań jeszcze ważniejszych, pracy bardziej podstawowej i głębszej? Czyż obraz rzeczywistości nie zawiera w sobie wołania alarmującego o wkład pracy daleko głębszy i bardziej zasadniczy, niż wszelka akcja polityczna?

Ludwik Baranowski

KATASTROFIZM ANDRZEJEWSKIEGO

Jerzy Andrzejewski napisał niedawno w „Odrodzeniu“ frapujący artykuł p. t. „Propozycje teraźniejszości“. Artykuł ten porusza najistotniejsze problemy społeczne. Czyni to w sposób szczery, szlachetny i niewątpliwie uczciwy. Dlatego zachęca do zajęcia stanowiska wobec tej autora; do przeciwstawienia mu się; do polemiki.

Zdaniem Andrzejewskiego istnieją w chwili obecnej dwa tylko światopoglądy, które odgrywają rolę decydującą: katolicyzm i dziejowy materializm. „Nie wydaje się“ pisze autor „aby obok katolicyzmu i materializmu dziejowego istniał w chwili obecnej inny światopogląd o równie silnie rozbudowanych i ugruntowanych metodach poznawczych. Te dwie uniwersalistyczne doktryny wyczerpują w razie wysiłek umysłu ludzkiego, zdążający w kierunku wszechstronnego uporządkowania rzeczywistości“. Czy pogląd ten jest zupełnie ścisły? Można by podnieść, że racjonalizm indywidualistyczny jest jeszcze na terenie Francji i krajów anglosaskich bardzo silny; wyznaje go wielu intelektualistów, sympatyzują z nim całe grupy ludności, całe stronnictwa (jak np. francuscy radykali). Ale słuszną byłaby odpowiedź autora, że prąd ten jest w każdym razie mniej atrakcyjny, niż marksizm i katolicyzm. Jest rzeczą prawdopodobną, że w przyszłości siły tego ruchu będą się coraz bardziej zmniejszać, choć metody poznawcze niewątpliwie także i on posiada (i wcale

Przemiany moralne znają tylko jedną metodę: nowy typ moralny przez własny przykład. Zaczynać trzeba od siebie. Potrzebny jest ruch moralny, budujący na podstawie własnej ascezy i prawdziwej służby społeczeństwa. Potrzebny jest ruch moralny świeckich o typie ascezy i bezimiennej służby, jako zakon.

Raz jeszcze: nie są to żadne propozycje, żaden apel. Tylko stwierdzenie, że w łonie katolicyzmu leżą wielkie złoża sił nieuaktywnionych. Tak wielkie możliwości i jakieś przeszkody, które za własną winę poczytać należy.

Marian Jedlicz

Z CZASÓW WOJNY

GRYPSY

Widać was było od nas, z okien szpitalnego budynku, w przejeżdżających Leszkiem tramwajach. Widać was było w oknach i na balkonach. Tam byliście wy! Tak blisko i tak daleko. Pomysleć: — dwadzieścia metrów więziennego podwórka, mur, potem Dzielna, potem Karłowicza, znów mur — za murem wy!

Nie mogliśmy powiedzieć, bo same nie wiedzieliśmy, czy nasze serca były tam czy tu. Pisało się w grypsach, że jesteśmy z wami. Każdy gryps od nas do was był podobno przenoszeniem się myślą za te dwa mury, oddzielające was od nas.

Chcieliście ciągle tak wielu grypsów od nas. Mielicie tysiące spraw, tysiące zapytań. Podobno interesowało was wszystko. I stan więźniów rano i wieczorem. I rozmówki, i przesłuchania na Szucha, i listy transportowe. Dziwiliście się, że przesyłamy tak mało. Ciągle żądaliście więcej i więcej. Chcieliście, abyśmy w ciągu dwóch godzin załatwili łączność z izolatem bez nazwiska, strzeżonym przez bestię w niemieckim mundurze. Chcieliście, żebyśmy zawsze i zawsze były na wasze usługi.

Dziwne mielibyście miny patrząc na nas, gdy otwieraliśmy wasze grypsy. Ten kawałek urzędowy. I ten także. I jeszcze ten. A gdzie list od mamy? od męża? od dziecka? Gdzie grypsy te najbardziej oczekiwane?

Grypsy...

Dziwne pojęcia kryły się w tym słowie. Gryps to nie kawałek klozetowego papieru, upstrzonego maczkiem półmilimetrowych liter. To także nie wasze wytworne bibułki papierosowe, zapisywane z lupą w rękę przy wygodnym biurku.

Grypsy...

To zapiekane w pierożkach Myszkii celofanowe pacuszki. To opatrunki dentystryczne Ani, wpychane do ust adresatowi pod bacznym okiem cerbera. To wielomiesięczne więzienie Danusi, lub „mateczki“ Szubielskie. To wreszcie ta nerwowa myśl, stałe wypatrywanie chwili

załatwienia czegoś dla was. Dla was, widzianych ze szpitalnego okna w przejeżdżających Leszkiem tramwajach.

Grypsy...

Myśmy zawsze wiedziały co znaczą grypsy. Że ważniejsze są te, na które czekacie. Te z podaniem zagrożonych punktów, z raportami o rozwałkach i transportach, z treścią przesłuchań.

Myśleliście czasem, że się buntujemy. Dziwiliście się niekiedy, że nie chcemy tych samych zapytań z dziesięciu różnych źródeł.

A to tylko dlatego, że nie widzieliście nas tak, jak my widzieliśmy was w przejeżdżających Leszkiem tramwajach.

Nie słyszeliście westchnienia Krystyny, gdy nie było od was codziennego komunikatu radiowego. Nie widzieliście z troskanych oczu Marysiuni i smutku Nonno, gdy nie było na rano oczekiwanej przez was przesyłki. Nie uczestniczyliście w wielkim triumfie, gdy ze strzeżonej izolátky miałyśmy dla was dwa lub trzy słowa. Następnego dnia chcieliście z tejże izolátky słów sto i tysięcy. Nie widzieliście, jak triumf wczorajszy stawał się prawie klęską i jak na bardzo krótką chwilę rozdził się w nas bunt.

Grypsy...

To nawet ani wasza ani nasza praca. To czasem takie cudowne chwile, gdy można było po całodziennym harowaniu myśleć o słowach przysłanych z Grochowa dla Nonno, albo o oczekiwanych a obiecanym na jutro prywatnym liście od Jasia. Wtedy nam wszystkim, tej waszej „kolumnie informacyjnej“ pachniały grządki uprawiane przez Franusia i były mocno, ale bardzo spokojnie, serca.

Nie kaźcie nam teraz przypominać sobie co pisałyśmy do was. To już naprawdę niepotrzebne. Chcemy tylko w pojęciu grypsu z Pawiaka zamknąć treść kilkuletniej pracy, tęsknoty i niekiedy szczęścia.

Wanda

związczą na Zachodzie — sformułowań, któreby temu przymierzmy dały świadectwo. Były to złudzenia. Jedyne, co istotnie łączyło i nadal łączy oba światopoglądy, to walka z faszyzmem. Nie należy jednak wyprowadzać zbyt daleko sięgających wniosków z koleżeństwa broni. Katolik i marksista, walczący w jednych szeregach Czerwonej Hiszpanii, mogli pozostać towarzyszami nie dłużej, niż w okopach i w obliczu wspólnego wroga. Gdy rozeszli się do domów i jeden z nich znalazł się w kościele, a drugi na zebraniu partyjnym, braterstwo broni musiało ustąpić wobec całkowitej i zasadniczej odmienności światopoglądów. Również w obecnej wojnie, w więzieniach, w obozach i na polach bitew ginęli ramie przy ramieniu katolicy i komuniści. Dzisiaj jednak, gdy nastał pokój, jedni i drudzy wycofują się na własne pozycje. Mogą ze sobą rozmawiać. Znajdą niekiedy wspólne punkty. Ale ani najlepsza wola, ani najsurowsze chwytły myślowe nie wyrównają różnic pomiędzy Bogiem, który jest źródłem porządku, i historią stworzoną wysiłkiem ludzkich rąk i umysłów. Przepaść jest głęboka... Katolicyzm jest religią objawioną, materializm dziejowy — metodą poznawczą, która dla wszystkich form istnienia ludzkiego znajduje wyjaśnienie w procesach historycznych“.

Pozornie rozumowanie jest bez zarzutu i trudne do odparcia. Ale tylko pozornie. Zaczniemy od spraw praktycznych. Czy walka z faszyzmem, która łączyła w obozach i na polach bitew katolików i marksistów, jest już naprawdę ukończona? Wiemy, że walka ta toczyć się będzie długo, może nie skończy się nigdy. Jest to w gruncie rzeczy walka przeciw złym i okrutnym instynktom w duszy ludzkiej, a czy instynkty te są wyteńpione? Jest to walka przeciw okrucieństwu, wyzyskowi i sadyzmowi, a czy siły te nie już nie znaczą?

Dopóki nieszczęście i krzywda podniecać będą pewne zbiorowiska nie do litości, lecz do gwałtu; dopóki na widok bezbronnych, pod ładą pretekstem mogą być organizowane gwałty; dopóki będzie nierówność i chciwość i samosądy i nadużycia władzy; dopóki nie zwycięży wszędzie bezwzględna zasada, że rządy powinny być sprawowane w interesie rządzonych, a nie rządzących; dopóki w pokonanych dziś ludach nie wygaśnie żądza odwetu — dopóty wspólna walka wszystkich sił, uznających wyższość prawa nad gwałtem i ętyki nad krzywdą, jest absolutnie niezbędną.

Nie koniec na tym. Andrzejewski stwierdza, że katolicyzm jest religią objawioną, a materializm metodą poznawczą. Znaczy to, że oba te prądy działają w różnych sferach, a więc nie muszą się bynajmniej wykluczać. Wykluczałyby się tylko wtedy, gdyby socjalizm był równoznaczny z ateizmem. Ale tak nie jest. Byli przecież wielcy socjaliści, uważający się za katolików. Można przytoczyć jeden przykład najwymowniejszy: przykład Mickiewicza. Oczywiście, wiem, że twórca „Trybuny Ludów“ nie był marksistą. Ale dziś właśnie marksisci powołują się na jego przykład, studiują najdokładniej i cytują jego artykuły. W Z. S. S. R. wychodzą te artykuły drukiem, we Francji właśnie z kół skrajnie marksistowskiej lewicy rzucono myśl wskrzeszenia „Trybuny Ludów“, jako międzynarodowego i opartego na ideach Mickiewicza pisma socjalistycznego. Można by także zakwestionować twierdzenie Andrzejewskiego, że tylko w dziedzinie walki z faszyzmem był możliwy wspólny marsz katolicyzmu i marksizmu. A ruch związków zawodowych? A spółdzielczość? A walka z kapitalizmem, jako ustrojem krzywdy? A wspólne dążności pacyfistyczne, będące próbą zbudowania ponad narodami organizacji typu nadzrędnego? A walka przeciw prostytucji, handlowi niewolnikami i eksploata-

cji ludów kolorowych? A praca nad poprawieniem doli murzynów w Ameryce? A, przechodząc teraz do zagadnień literackich — czy nadrzędność kryteriów etycznych nad czysto estetycznymi w sztuce nie była i nie jest punktem wspólnym, łączącym katolików z socjalistami?

Już w r. 1904 duchowny francuski, X. Gayrand, deputowany do parlamentu, wydał broszurę p. t. „Czy katolik może być socjalistą?” i odpowiedział pozytywnie: „Podczas, gdy socjalizm potępia tylko własność prywatną w pewnych formach i to nie na podstawie jakiegokolwiek apriorycznej, lecz w myśl ewolucji

samego kapitalizmu; gdy uznając własność w formie spółdzielczej i kolektywnej — doktryna katolicka ze swej strony nie potępia nacjonalizacji, czy uspołeczniania, ani ustawowego ograniczania praw kapitalistycznych“.

Podobnie pisze Dominikanin O. Serpillanges, autor dzieła „Socjalizm i chrześcijaństwo”: „Sądzę, iż cel socjalistów jest identyczny z tym, który się nasuwa każdemu chrześcijaninowi w dziedzinie społecznej: polepszenie losu klasy robotniczej, udostępnienie jej życia naprawdę ludzkiego i niezależnego, zniesienie pałozynictwa i eksploatacji słabych przez silnych, równa możność rozwoju każdej

jednostki“. Z drugiej strony Leon Blum powiedział w mowie z dn. 3.II.1925: „Uważamy, że można być w sposób jaknajbardziej naturalny i usprawiedliwiony — równocześnie socjalistą i katolikiem“. Obecny minister francuski z ramienia partii socjalistycznej (S. F. J. O.) prof. Andre Philip, pisał w „La Vie Socialiste“ z dn. 6.4.1929: „Kościół jest równie niezbędny dla życia religijnego, jak partia dla działania socjalistycznego“. Inny deputowany socjalistyczny, August Teissier, nazwał się nawet wyraźnie „katolikiem socjalistycznym“.

Z artykułu Andrzejewskiego zdaje się wynikać, iż katolicyzm i marksizm sta-

nowią dwie wielkie siły, niemożliwe do pogodzenia i wrogie. Byłby to wniosek tym bardziej pesymistyczny, że Andrzejewski uważa je za siły jedyne. Gdyby rozumowanie autora było słuszne, należałoby się spodziewać groźnego dla ludzkości starcia, walki na śmierć i życie. I to walki nie między siłami dobra i zła, lecz między dwiema metodami, zmierzającymi do etycznie równoległego celu. Wydaje nam się, że pesymizm ten nie jest słuszny. Od ducha tolerancji i wiary w człowieka zależy uniknięcie tych niebezpieczeństw. Starcie mogłoby zepchnąć świat w otchłań upadku i zbrodni.

Ludwik Baranowski.

Jacek Woźniakowski

O społecznej użyteczności dzieła sztuki

Uwagi niniejsze nie mają oczywiście pretensji do — najtreściwszego bodaj — ujęcia całości zagadnień, związanych ze społeczną użytecznością dzieła sztuki. Takie ujęcie wymagałoby znacznie obszerniejszego i bardziej pogłębionego opracowania tematu. Pragnę jedynie wprowadzić nieco ładu w te zagadnienia, rozgraniczając poszczególne ich elementy. Pomieszczenie owych elementów przyczyniać się może do nieporozumień i fałszywej interpretacji tych czy innych wypowiedzi.

Wydaje mi się, że pisząc o czynniku użyteczności społecznej w dziele sztuki, powinniśmy rozróżnić udział tego czynnika w trzech odmiennych „fazach“ istnienia dzieła — z punktu widzenia jego stosunku do człowieka: w procesie powstawania dzieła w samym dziele — jako przedmiocie fizycznym, którym tak czy inaczej można rozporządzić; wreszcie w procesie jego percepcji. Pierwszy i ostatni punkt dotyczą psychologicznego stosunku twórcy i odbiorcy do dzieła, punkt drugi zaś — fizycznego stosunku dzieła i człowieka (lub zespołu), który jego użytkowaniem dysponuje. Należałoby więc postawić trzy pytania, w zależności od tych trzech punktów. Po pierwsze — do jakiego stopnia może lub powinien kierować artystą względem na użyteczność społeczną jego tworu? Po drugie — w jakim stopniu dysponowanie dziełem sztuki może lub powinno zależeć od jego użyteczności społecznej, przypisywanej mu przez dysponującego? Po trzecie — do jakiego stopnia subiektywizm danych odbiorców wyznacza granice użyteczności społecznej dzieła? Pragnąłbym, aby szukając odpowiedzi na te pytania, udało się bodaj trochę rozświetlić kwestię zasadniczą: co to jest użyteczność społeczna dzieła sztuki?

1.

Do jakiego stopnia może lub powinien kierować artystą względem na użyteczność społeczną jego tworu?

Zbyt jasno rozumiemy dzisiaj ściśle współzależność wszystkich dziedzin życia, abyśmy mieli ulec złudnemu hasłu: sztuka dla sztuki. Z drugiej strony jednak postulat swobody twórczej został wyraźnie określony przez zawodowe zrzeszenia artystów, więc artysta pozostaje wolny w epoce, kiedy wszelką produkcję organizuje się w ramach potrzeb społecznych. Przekonał się dowodnie na jaskrawym przykładzie Niemiec hitlerowskich, jak karłowacieje i jałowuje sztuka, poobcinana przez cenzurę i wgniecioną w ramy programów czy tendencji.

Czy zachodzi sprzeczność między negacją hasła: sztuka dla sztuki — a postulatem twórczej swobody artysty? Oczywiście nie. Trzeba tu rozróżnić dwa „współśrodkowe“ kręgi zagadnień. Krąg pierwszy: sztuka leży w dziedzinie czynności, których celem i miernikiem jest dobro tworzonego przedmiotu, nie zaś dobro działającego podmiotu. Dlatego artysta, ujęty abstrakcyjnie, jest — jak powiada Maritain — „całkowicie amoralny“, więc i aspołeczny. To znaczy, że nie mogą go w pracy twórczej obowiązywać jakiegokolwiek kryteria poza kryterium doskonałości — czyli możliwie największego piękna — dzieła. Krąg drugi: praktycznie nie można odłączyć artysty od człowieka — i choćby dlatego „sztuka jest wolna w swojej dziedzinie, ale jej dziedziną jest podporządkowana“, jak wszelkie dobra ludzkie, ostatecznemu dobru i celowi człowieka. Zajmuje więc określone miejsce w hierarchii wartości indywidualnych i społecznych. Nie można też spośród elementów składających się na osobowość ludzką, wydzielić jakiegos

czystego „czynnika twórczego“. Wszelkie cechy charakteru, wszelkie przeżycia i poglądy twórcy muszą wpłynąć na jego dzieło; niedaleko pada jabłko od jabłoni. Od osobowości artysty zależeć będzie artystyczna i społeczna wartość dzieła. Z nieco innego punktu widzenia dałoby się przedstawić rzecz — ewolucyjnie — w ten sposób: człowiek może mieć na oku ten czy inny cel swojej działalności — pomnożenie chwały bożej, jak Fra Angelico, lub „pokrępienie serc“, jak Sienkiewicz, albo zarobienie sobie na parę butów, jak pan X. — jednak w samej koncepcji dzieła przestają działać jakiegokolwiek inne względy poza względem na doskonałość artystycznego tworu. Skolei jednak ów twór może tak czy inaczej spełnić początkowe zamierzenia twórcy, zależnie od siły i szczerości jego zamiarów i przekonań, przede wszystkim zaś od szczerości jego tworzenia artystycznego. Jeżeli by mimo talentu i najszczerzejszych chęci, nie zarobił na buty, będzie to jedynie dowód, że wartość dzieła i jego aktualna ocena, to dwie rzeczy różne... Mówiłem o szczerości przekonań artysty — bo są one o tyle ważne, o ile są gruntownie przyswojone i stanowią integralną część jego osobowości. Jeśli są tylko elementem ubocznym, okolicznościowo narzuconym, mogą jedynie spaczyć dzieło sztuki. Oto odpowiedź na pierwsze pytanie.

Byłby to dziwny człowiek: rzemieślnik, urzędnik czy artysta, który by nie zdawał sobie sprawy ze swego związku ze społeczeństwem, ze swoich obowiązków wobec niego; smutne społeczeństwo, które by nie mieściło w swoich ramach artystów — więcej: które by nie odczuwało ich konieczności jako żywego członu organizmu społecznego, członu o funkcji naturalnie określonej. Otóż wydaje mi się, że tę funkcję społeczną artysta spełni najlepiej, jeśli będzie dobrym artystą. To wysoka i rozległa ambicja. Nie sądzę, aby mógł nim być naprawdę, jeśli swego ludzkiego przeżycia — którego owocem jest dzieło sztuki — nie pogłębi przez zdolność współodczuwania z innym człowiekiem, z innymi ludźmi, ze społecznością. Najszerzej pojętą społecznością będzie ludzkość cała. Owe związki mogą być dla nas nieuchwytnie i tajemnicze — zapewne różne w różnych epokach — ale jednak istnieją. Dowodem tego jest przyjęcie, przywłaszczenie sobie przez ludzkość wielkich dzieł i ich twórców. Świadectwo owego specyficznego uspołecznienia artysty wydać może dopiero powołanie, wywołanie ze zdolności współodczuwania, dzieła krzykaczy i szarlatanów, których tyłu wydaje każde pokolenie, ulegną zapomnieniu. Wydaje mi się, że szczerze artystyczna, o której wspominałem, jest tym elementem, który oczyszcza współodczuwanie twórcy od naleciałości błędów i pomyłek. Świetnie wykazał to Boy na przykładzie Balzaca, w dziele, którego „żywołowa“ prawda realizmu zwyciężyła snobistyczne upodobania pisarza.

Mówimy o pięknie dzieła. Zmienność kryteriów estetycznych odsłania najlepiej ich związek — więc także związek dzieł — z przemianami społecznymi. Kryteria artysty i kryteria publiczności powstają — socjologicznie rzecz biorąc — z jednego podłoża. Jest to podstawą „dogadania się“ twórcy i odbiorców. Ale należy pamiętać, że artysta idzie pierwszy: dzieło, w pewnym sensie, „stwarza“ kryteria. Niezależnie jednak od tych zmian, dzieła największe zwyciężyły czas i przetrwały: trwają. Pokolenia patrzą na nie z tej lub innej strony — każde dostrzega jeden z aspektów ich niezmiennego pię-

knia. Jest ono sprawą pewnych harmonii i proporcji; w tym znaczeniu „sztuka jest wiadomością o rzeczywistości, nie dająca się wyrazić inaczej“, jak mówi Charles Morgan. Wielkość „wizji“ zależy od tego, jaki zakres owej rzeczywistości ogarnia artysta, jak głęboko sięga pod zewnętrzną jej powłokę; wielkość dzieła — od tego, jak potrafi on swoją wizję ucieleścić.

Któż dał wyraz najlepszym wartościom i dążeniom swego społeczeństwa i swej epoki, jeśli nie — obok świętych i myślicieli — wielcy artyści? Kto jest bardziej francuski od Cezanne'a, bardziej polski od Szopena? A jednocześnie — kto bardziej od nich należy do całej ludzkości? I wreszcie — kto wierniej od nich był oddany swej sztuce? Przypomnę tu słynną odpowiedź Cezanne'a, kiedy go pytano, co robił w 1871 roku: „Malowałem pejzaż w Estaque...“. A co robił Szopen w roku 1831? Komponował.

Wątpię, czy myślał przy tym o jego użyteczności społecznej, choć napewno myślał o pożytku, jaki krajowi przyniesie może — ogólnie biorąc — jego muzyka. Te przykłady są oczywiście krańcowe i byłyby groźne dla społeczeństwa, w którymby każdy obywatel, umiejący zagrać „Marzenie“... we własnym układzie... uważał się za Szopena. Jednak — jest taka maksyma: pokój powstaje wówczas, gdy ludzie przywoici mają większą siłę, niż bandyci. Cézanne i Szopen nie powiększyli wprawdzie owego czynnika siły. Ale stanęli przeciw w rzędzie tych, którzy najwালniej przyczyniają się do „przyzwrotności“ bodaj części ludzkości; nie pozwalają człowiekowi zapomnieć, że jest człowiekiem. To jest społeczna użyteczność ich dzieła. Może dlatego Niemcy nie pozwolili nam grać Szopena.

2.

W jakim stopniu dysponowanie dziełem sztuki może lub powinno zależeć od jego użyteczności społecznej, przypisywanej mu przez dysponującego?

Wydaje mi się, że możemy określić dwa główne sposoby dysponowania dziełem sztuki. Po pierwsze — przeznaczenie go do pewnego użytku „zgóry“. Po drugie — „zdół“.

Sposób pierwszy — to poprostu zamówienie. Mecenat prywatny dzisiaj u nas praktycznie nie istnieje. Na obstatunek pozwolił sobie mogą tylko zespoły, które z natury rzeczy kładą nacisk na użyteczność dzieła z punktu widzenia zbiorowości. Klasycznym „klientem“ artysty jest najpotężniejszy z tych zespołów: państwo. Na jego przykładzie rozważymy najlepiej całą sprawę dysponowania dziełem sztuki.

Sądzę, że zamawiając dzieło sztuki, państwo ma jeden tylko sposób wpływania na jego użyteczność społeczną. Może wyznaczyć mu materialne, fizyczne warunki, które same przez się będą go do pewnego stopnia formalnie określały: np. przez zamówienie pomnika, plafonu, marsza triumfalnego, wiersza okolicznościowego. W ramach immanentnego — że tak powiem — celu każdej działalności artystycznej, jakim jest stworzenie rzeczy pięknej, istnieją warunki fizyczne, które ów cel wyznaczają z materialnego punktu widzenia. Naprzykład — nadanie formy bryle kamienia. Tak pojęta „celowość“ dzieła sztuki stanowi zasadniczy element jego wartości. Otóż zamawiając dzieło dla specjalnych warunków, precyzuje się te dane materialne: naprzykład w wypadku pomnika nadanie formy pewnej bryle, pozostającej w pewnym stosunku do otoczenia. „Temat“ wybrany dla pomnika jeszcze bliżej określa owe dane materialne. Tę ściślej wytkniętą „celowość“ dzieła należy uważać za zło konieczne i dbać o to, aby jego cel za-

sadniczy był jak najmniej otamowany tego rodzaju warunkami dodatkowymi, które ze sztuki robią sztukę stosowaną. Owe ograniczenia — w wypadku np. konkursu — nie tylko zmniejszają ilość artystów, którzyby mogli dany problem formalny rozwiązać. Przede wszystkim zwiężają zakres działania danego artysty, który potrzebuje formalnej „celowości“ dzieła i tak rozumie prawdopodobnie lepiej, niż zamawiający. Nie zmienia to jednak faktu, że wszyscy prawie najwięksi twórcy, jakich ludzkość wydała, pracowali „na zamówienie“. Nie przeszkodziło im to w rzeźbieniu, malowaniu i komponowaniu arcydzieł.

Z pisaniem na zamówienie było zawsze gorzej, bo wszelkie sugestie zamawiającego wykraczały z natury rzeczy poza kwestie formalne. Dotykamy tu sedna sprawy „obstatunku“. Jasnym jest, że wszelkie wpływy, wciskające się między artystę a dzieło, które dążą do zmiany wizji artystycznej, mogą tylko pozostać śmiesznie bezskuteczne, albo poprostu szkodliwe. Trudno jest przerobić, zależnie od chwilowej potrzeby, najgłębsze pokłady czyjejś osobowości. Aby umożliwić spontaniczną krystalizację, w dziele sztuki, jakichś określonych „pogładów“, można conajwyżej pomóc twórcy do gruntownego zasmyłowania pewnych wartości. Z tego punktu widzenia cenną jest w obecnych programach życia kulturalnego zapowiedź planowego zacieśniania kontaktu pisarstwa ze wszystkimi warstwami społeczeństwa.

Narzucało nam się powyżej odgraniczenie literatury od innych sztuk. Należałoby tu przypomnieć sobie elementarną prawdę: treść przeżycia wewnętrznego, które się chce wyrazić, musi odpowiadać formalnym możliwościom jej wyrażenia, właściwymi danej sztuce. To znaczy: malarz nie może „opowiadać“ np., że jest deterministą, a muzyk nie może „odmalować“ np. radośnie żółtego koloru słonecznika. W związku z tym rozumiemy zdanie Focillon'a: „Póki wniosłość myśli uzewnętrznia się w niedostateczności malarskiej, nie zasługuje na uwagę“. Otóż wprawdzie dzieło sztuki, będąc wpływem osobowości artysty, „wyraża“ — mówiąc metaforycznie — jego stosunek do rzeczywistości, ale tylko formalnie o możliwości literatury pozwalają naprawdę na wyrażenie zapatrywań i sądów pisarza. Bowiemy tworzywo dzieła literackiego: język, jest zarazem narzędziem, przy pomocy którego przekazujemy innym pojęciowe dane naszej świadomości.

To rozróżnienie staje się konieczne — wrócimy do niego poniżej — kiedy mamy omówić drugi sposób dysponowania dziełem sztuki. Nazwałbym go: „zdół“. Dotyczy on przeważnie dzieł, które nie były stworzone dla jakiegos bliżej określonego celu lub okoliczności. Istnieje obraz, powieść, symfonia. Państwo — dysponując środkami materialnymi — może je zakupić, wystawić, wydać, jednym słowem ułatwić ich uprzystępnienie masom. Może też, przez cenzurę lub sąd, skazać je na... chwilowe zapomnienie. To zjawisko było zwyczajne w państwach totalnych — ale zdarzyło się nie tak dawno i w... Anglii, w wypadku Wilde'a. Łatwo zrozumieć, że ci, którzy mają aspiracje, lub — choćby ex officio — obowiązki wychowawcze wobec społeczeństwa, chcieliby widzieć sztukę, oddziałyującą w kierunku, który uważają za właściwy. Jakie mogą być kryteria, kierujące ich wyborem? Oczywiście będą oni uzależniać je od odbiorców, na których ma być wywarte owo „oddziaływanie“. Dlatego zajmujemy się tą kwestią w trzecim rozdziale, dochodząc zarazem do podstawowych elementów całego problemu

Antoni Gołubiew

POPRAWIAM KOTTA

Conrad jest dzisiaj w niełasce. Czytaliśmy w czasach ostatnich niejedną ostrą krytykę jego twórczości i to krytykę pod kątem widzenia przede wszystkim ideologicznym. Charakterystyczne jest, że właśnie tragizm Conrada jest najbardziej atakowany. Krytykę niepokoi to, co Brzozowski nazywa skierowywaniem energii człowieka „w bezwycisową przygodę indywidualną”.

Ataki nie ustają. W ostatnim numerze „Twórczości” Jan Kott pisze obszerny artykuł „O laickim tragizmie”. Artykuł jest obszerny i wnikliwy. Maluje szerokie tło i daje obszerne porównania. Nie znaczy to, że jest we wszystkich punktach słuszny. Nie znaczy także, że na przestrzeni dwudziestu kilku stron wszędzie jest równie głęboki. Słysza się widocznie wówczas, gdy powiada: „Conradowska wierność samemu sobie jest wiernością niewolników, niewolnikiem jest bowiem ten, kto słucha pana, którym pogardza i troszczy się jedynie o swą wewnętrzną prawdość”. „Wierność samemu sobie” nie ma wartości, jeśli nie służy powszechności.

Czy jednak nie służy?

O postawie tragicznej w literaturze napisano tomy — któż zdola przeczytać stos tych papierzyk. Najpopularniejsze określenie tragedii mówi, że jest ono wynikiem zmagania się człowieka z silniejszym odcieniem losu. Los łamie człowieka. O losie tym napisano tomy. Lecz co jest tą siłą, która popycha człowieka do walki z losu? Do walki często beznadziejnej, walki tragicznej.

Od paru tysięcy lat tą siłą jest poczucie obowiązku — który bądź się przyjęło dobrowolnie, bądź został on narzucony. **Antyгона ma obowiązek** pogrześć ciała swych braci; **Edyp ma obowiązek** (negatywny) nie popełnić pewnych występów; **Cyd ma obowiązek** obrony honoru. Przy wnikliwej analizie każdą tragedię heroizmu zakwalifikujemy jako tragedię obowiązku. I co więcej: istotę tragedii stanowi niemożność spełnienia obowiązku; śmierć bohatera jest już czymś wtórnym, jest konsekwencją, jest niemal wyzwoleniem czy rozwiązaniem tragedii. Niespełnienie obowiązku łamie człowieka. U Conrada jest to zupełnie widoczne. Nie jest tragiczny Korsarz, ginący w imię **dobrowolnie** przyjętego obowiązku. Nie jest tragiczna Lena, której czyn — okupiony śmiercią — dał powieści dumną nazwę „Zwycięstwo”. Ale jest tragiczny Lord Jim, który nie spełnił obowiązku i skoczył z pokładu tonącej Patny. Jest tragiczny Heyst, który nie spełnił obowiązku ani wobec Spółki Węglowej, ani wobec kobiety, której winien był obronę. Jest tragiczny Tom Lingard, który sprzeniewierzył się swym przyjaciółom malajskim obowiązkiem przyjętym **dobrowolnie**. Jest tragiczny Almayer, niespełniający tego, co było jego obowiązkiem. Ci wszyscy są tragiczni.

I co jest ostatecznie przyczyną ich sprzeniewierzeń, co jest przyczyną upadku i tragedii? To nie jest — głębiej rzecz biorąc — żaden ślepy los, żadne fatum; to nie jest tępy i głupi w swej nienawiści Schomberg, ani tym bardziej upiorna trójka w „Zwycięstwo”; to nie są Arabowie, omotujący pajęczą siecią Almayera; to nie jest ów splot intryg i starczej zaciekałości, która wysadziła w powietrze świat króla Toma.

Istotą i głębią tragedii tych wszystkich ludzi jest ich słabość, ich nieodporność, wewnętrzne załamanie się. Czymże jest Almayer, czyni Lingard u nóg pani Trawers? Czym skok Lorda Jima? Czym niezdecydowanie Heysta? Tu właśnie, w tej wewnętrznej słabości, jest zdrada samego siebie, tu jest przyczyna słabości i tu jest uzasadnienie tragedii.

Gdy przeglądam artykuł Kotta, mimo woli nasuwa się refleksja o sztywności dialektycznej metody marksizmu, gdy się chce ją stosować do wszystkich przejawów życia. Artykuł Kotta płynie zrazu głębokim nurtem. Na tych stronach, gdzie Kott atakuje bezpodstawność laickiego tragizmu, gdzie mówi o pustce — ostatecznie — tego tragizmu, o jego niepełności, nurt jest głęboki. Niestety, nie zrobię zapewne przyjemności autorowi, gdy powiem, że jest on katolicki, przede wszystkim w swych akcentach antynaturalistycznych, w swej krytyce „krajny baśni”. To nic, że jest tam ironiczny wtręt o „naiwnych misjonarzach” i „złych

filozofach”. To tylko dobry dowcip i uznajemy go. Ale przecież marksista nie mógł w tym tonie zakończyć swej rozprawy. Nie mógł obracać się w kategoriach wartości, które nieraz wnikliwie atakuje. I oto nagle — jak za naciśnięciem sprężyny djabełek z pudełka — wyskakują z artykułu owi armatorzy. To nic, że mamy tu nawet naciąganie faktów. Jakim armatorem służy Tom Lingard? Czy Lord Jim zawiął przede wszystkim wobec armatorów, czy wobec owoych stłoczonych na okręcie pielgrzymów? Cóż za bujda! Przecież Kott rozumie doskonale, że Conradowi nie o to chodzi. Bez względu na osobiste sympatie polityczne pisarza tragedia jego bohaterów byłaby **taka sama** w bezwzględny sensie rzeczy, gdyby służyli oni nie armatorom, lecz socjalistycznym liniom żeglutowym. Przecież kapitan Mac Whirr — tępy, bo tępy, tak go właśnie Conrad przedstawił — mógłby być równie dobrze kapitanem sowieckiego statku. I rozumowałby identycznie — „przypuścimy, że przyszedłbym z dwudniowym opóźnieniem i spytałby mnie, gdzie pan był przez cały ten czas, towarzyszu. Co na to mógłbym odpowiedzieć? Wykręcałem, by uniknąć burzy, odpowiedziałbym. — Musiała to być wściekła burza — oni na to. A ja — nie wiem, okrążyłem ją”.

Czyż tego rodzaju mentalność zależy od ustroju?

Pał diabli armatorów! Epoka armatorów — piratów kończy się i bodaj kończy się bezpowrotnie. Maluczko a przeczytamy w dziennikach o billu J. K. M., dotyczącym upaństwowienia żeglugi. Nie ronimy łez rokodylich z tej racji i wierzymy w lepsze jutro świata. Nie myślimy bronić armatorów — sądzę, że publicysta tej miary, co Kott, nie użyje tej demagogicznej riposty. Ale przecież oceniając przez Kotta tragedii heroizmu bohaterów Conrada jest niesłychanym spłyceniem zagadnienia, płynącym z konieczności zastosowania ortodoksji marksistowskiej do badań literackich. I jestem przekonany, że Kott to odczuwa. Jestem przekonany, analizując jego artykuł. Płynie on tak lekko i pewnie, póki szkicuje tło, póki analizuje i myśli, póki autor jest człowiekiem, więc humanistą. Lecz z chwilą, gdy przyłożył metr marksistowski — kłapa! Ton artykułu staje się suchy i wymuszony, człowiek przestał czuć i zaczął odmierzać żywe, pulsujące ciało zimnym wzorcem schematu. Zazgrzytał w artykule fałsz. Fałsz dowodu wbrew prawdzie wewnętrznej.

Mimo, że w literaturze polskiej mamy takie pozycje, jak Wyspiański i Rozwadowski, jak Prus i częściowo Żeromski, jak wiele dramatów Słowackiego i in. nie jest to literatura tragizmu. Więcej: czytelnik polski — przeciętnie — nie lu-

bi tragizmu. Teatry u nas nie robią kasy na tragediach. Chcę tu rozgraniczyć: tragedię i pesymizm. Wydaje mi się, że nie dorosiliśmy jeszcze w pełni do pojmowania tragizmu. Trudno o pełne odczucie tragizmu w społeczeństwie, które ukuło przysłowie: „jakoś to będzie”. Któremu głęboko w krew weszło to przysłowie. Dla którego bohaterstwo romantycznej śmierci jest łatwiejsze od „wierności samemu sobie” — od wierności wobec dobrowolnie przyjętego obowiązku.

Nurt artykułu Kotta spłyca się, gdy mówi o „wierności niewolnika” w odniesieniu do bohaterów Conrada. I autor myli się — grubo się myli — jeśli sądzi, że materialistyczne spojrzenie na świat wszystko rozwiąże. Istnieje „materializm naiwny” w tym znaczeniu, w jakim mówimy o „naiwnym realizmie”. Ale głębiej pojęty materializm „materialistyczny monizm” coż może dać więcej artystyczne ponad to: „chwila wizji, westchnienie, uśmiech i powrót do wieczystej ciszy”. Wiem dobrze, że ortodoksyjny marksizm i na to nie zezwala. I tylko chrześcijaństwo tłumaczy tragedię, gdyż chrześcijaństwo przebacza człowiekowi, lecz nie przebacza słabości.

W zagadnieniu „wierności niewolników” Kott powinien był sięgnąć głębiej. Czym jest „wierność sobie” bohaterów Conrada? — zgadzam się z Kottem: bezsensowna wierność. Wierność w imię czego? Jest to kantowski imperatyw kategoryczny. Wierność bez pokrycia. Zasada dla zasady.

Nie, tu nie o chciwych armatorów chodzi. Tu chodzi o uzasadnienie obowiązku w innych kategoriach. Lecz jest to teren grząski i wchodzimy w świat wartości. Kott tego nie lubi — wiem, dlatego nie lubi. Jest to obawa — w płaszczyźnie materialistycznego pojmowania świata — przed błędnym kołem. Bo i armator i powszechność — i to i to może być wiernością niewolnika. Podkreślam: może, nie zaś musi.

A jaką jest wiernością, zależy to od człowieka, od jego wolności wewnętrznej. Ale na to znów Kott powie: veto!

Lecz ja nie jestem materialistą — choć myślę w płaszczyźnie służby powszechności. Przy dzisiejszym braku papieru, gdy nie stać nas na wydawanie wartościowych książek, butwiejących w rękopisach, nie śmiałybyśmy napisać tych tu wierszy, gdyby chodziło jedynie o estetyzowanie, o spór teoretyczny na temat laickiego tragizmu. I mnie i Kottowi chodzi o coś ważniejszego — o postawę psychiczną chodzą.

Tragedia niespełnionego obowiązku, czy tragedia głupiego heroizmu. Ale przecie przygody bohaterów Conrada jak bardzo mogłyby wyglądać inaczej. Lord Jim zeskokczyłby z parowca, lecz potem

mógłby fanfarować — czy ja wiem, jak? — ale gdyby to był farmazon, jakich wielu widzimy dokoła, już on by wiedział. „Fiu! zeskokczyłem, wielka rzecz! Kpię sobie z tego”. Tom Lingard, ów pirat, powiniemy na dobry ład obrabować Hassima, porwać Immadę, a gdy ta mu się znudzi, zamienić ją na panią Trawers. Być Londonowskim Królem Słońca, rabować i radować się życiem. A Heyst? Ten dopiero mógłby zbijać forsę na węglu, czy blade węgla, a porwanie Leny mogłoby mieć całkiem smak inny. O! wówczas łatwo by się dogadał z Schombergiem. Wówczas nie byłoby tragedii. Otóż gdy życie stawia człowieka wobec zasadzek losu, są dwie właściwe postawy: heroiczna wierność samemu sobie, lub cynizm.

Społeczeństwo, które ukuło hasło „jakoś to będzie”, społeczeństwo, które trzeba wychować w wierności samemu sobie, społeczeństwo to nie wolno pozbawiać wzorów bohaterskiego stosunku do obowiązku. A zgadzam się z Kottem, że nie powinien to być obowiązek niewolnika, lecz obowiązek człowieka wolnego. Że nie każdy obowiązek narzucony godzien jest heroicznej postawy. Że imperatyw kategoryczny, jako jedyne uzasadnienie postawy heroicznej, to jeszcze zbyt mało. Że trzeba nauczyć współczesnego człowieka, czym jest w istocie jego **dobrowolnie przyjęty obowiązek** i jaki obowiązek winien on **dobrowolnie** przyjąć. Ale to już dla Kotta dziedziną tabu — dziedziną wolnej woli.

I zgadzam się wówczas z Kottem — z czym się on znowu nie zgadza — że laicki tragizm nie wystarcza. „Jeśli może nadejść czas królestwa bożego na ziemi, dola człowieka nie jest tragiczna. W dogmatycznym katolicyzmie wszechmoc Boga ogranicza panowanie zła; pesymizm chrześcijański, tak długo, póki nie popada w herezję, powiększać może tylko skłonność do grzechu, tkwiącą w naturze ludzkiej i ograniczać działanie łaski, utrudniać walkę o zbawienie, powtarzać za Eklezjastą, że próżne są marzenia człowieka o osiągnięciu szczęścia na ziemi. Końcowy rozrachunek nigdy nie jest tragiczny, rozstrzygnięcie dogmatu przynosi Sąd Ostateczny”. Piękne słowa!

Lecz ci, którzy w sumieniu swym nie mogą się pod tymi słowami podpisać, ludzie uczciwi i pragnący służyć powszechności, muszą zgodzić się na postawę heroiczną — postawę wierności tylko samemu sobie. Niech wychowują i zmieniają motywy moralne „niewolników”, lecz niechże się zgodzą, że — jeśli mamy do czynienia choćby z tępym Mac Whirrem — lepszy jest tragizm heroizmu niż cynizm egoizmu i obłudny.

Antoni Gołubiew

Antoni Gołubiew

Poselstwo do Pragi

(fragment z powieści „Bolesław Chrobry”)

(dokończenie)

— Nie bajajcie, zem wam to mówił... klnijcie się... Na Dadźboga i Jezu Krysta... nie bajajcie... głowę-by wzięli... o czy... oczy-by Bolko wziął (pociągnął ręką po oczach, palcami po oczodołach, prawą ścisnął kurczowo Przemkową dłoń, naraz jakby się zachwiał, szepnął: „Święty Waclawie... święty Waclawie, pomnij, jako bluźniercy cerkiew twoją w Libicy pogańbili, krew w niej rozlałi...”)... Przemko, od was tylko... wy nam możecie Libice wrócić... Libice nam wrócić! — krzyknął.

— Ja? — szepnął zdumiony Przemko usiłował dłoń wyrwać.

— Słuchajcie — charknął Sobiebor, zaciskając palce — będą was tam pytali, znam-ci Bolesława i Wrszowców: „Myśli-li Bolko uderzyć na Czechy, Sobieborra mścić?” Rzeknijcie: „Ninie sił nie ma, ale myśli. Po godach zimowych wyprawi się na Czechy. Ninie drużyna w Poznaniu, a Gnieźnie, a Lednicy a Kruszowicy”. Tegdy Bolesław a Wrszowce mogą wyprawić się na Kraków, Bolko pobije ich, namówi Ottona, bo ninie mir z Czechami, możec Stefana Węgierskiego, a tegdy...

Przerwał, odetchnął głęboko, aż nagle pełnym głosem.

— Tegdy koniec Przemysłidom a Wrszowcom... Popłynie jucha po moście, będzie się lać w Wełtawę, poczerwienieje czeska rzeka od krwi wrażej. O ho!!! — nie strzymał radości, zakrzyknął. Przemko patrzył, mrugał powiekami... zdumiony... przerażony. Sobiebor przypadł doń, pochylił się, sapnął:

— Nie zapomniemy wam tego... Nigdy. Zrobicie to?

— A skoro wam powiem, ksze: nie zrobię?

Uścisk olbrzyma zdawał się miażdżyć dłoń Przemkową. Lewą wyjął nóż z pod szyi, charknął:

— Za wiele wiecie... Nie zrobicie? Głowa mi miła. I oczy. I ręce. Lelum!

Przemko przegiął się nieco, naraz pchnął łbem w pierś Sobiebora, nagłym szarpnięciem wyrwał rękę, odskoczył na parę kroków, krzyknął:

— Dawaj konia... Będę milczał...

Sobiebor stał — błądy zupełnie, z mokrą twarzą. Odwrócił się i ciężkim krokiem ruszył z powrotem ku Wawelowi. Przemko poszedł dalej, poruszał karkiem, czuł jeszcze zdrętwienie w prawej ręce — siłacz z Sobiebora. Poczł się pewniej dopiero, gdy dotarł krańca wierzby,

ujrzał szerokie łągi i dognął swego chłopca. Odwrócił się, zacisnął pięść, nie wydał głosu, ale zimna zawziętość ścisnęła go, jak lodowymi kleszczami.

— Obaczmy jeszcze.

Złowił konia, jechali z powrotem wskok. Do wieczora gotował się, żywność brał, wory, srebro od Sobiewoja, krakowskiego komornika. Woje dogadywali, zazdrościli. Wiewozem zbroję gotował, gdy wsunął się Zefrid; jak łasica. Siadł na skrzyni, pzdrowili się z Przemkiem, kapelan oczy kosił. Naraz wyciągnął z zanadru róg, pięknie polerowany, okuty powierzchu i na końcu złotem, w zawijsane błyszczące druciki. Róg był bawoli, wykręcony, ogromny; rzadko spotkać taki. Położył na skrzyni, oczy jeszcze bardziej skosił, zapisał:

— Weźcie on róg, Przemko, miłuję was. Ojca waszego znałem, walny był woj świrad, silny a chytry. Wyście podobni z ojcem jak dwa rogi u byka. I ksiądz was miłuje, rzekł lato do mnie: „Tęgi chłop, onże Przemko. Trza będzie postać gdzie kogo, Przemka poszłę. Abo z jaką chasą skoczyć, łup brać, Przemko świradowic jak nikt”. Ninie rzecze do mnie: „Trza ślać kogo do Pragi z Adal-

bertowem posłaniem". Prę mu: „Zabaczyliście ksze, jako Przemko świradowic w Krakowie". „Zefrid" — krzyczy książd — Przemka poszłę. Dobrze, żeście wspomnieli". Macie róg, Przemko, pićcie z niego, niechże nie zbraknie nam nigdy piwa ni miodu. Oo, Przemko.

Przemko rozstawił kolana, oparł się o nie, pochylał do przodu, siedział nastrożony. Zefrid gadał prędko, płynnie, bezustanku, całkiem by strumień, warczący po kamieniach.

— Adalbert szle was do Pragi, wiem. Chce na biskupstwo wracać. Święty mąż, onże Adalbert, pobożny a mądry. Boga boi się, Jezu Krysta czi, pości a modli się, biczuje się pletnią noc w noc. Wiemci to. Święty mąż. Prażanie ludzie złe, pochutniki sprośne są. Bacz, wygnali biskupa. A wżdy w Rzymie kazali Adalbertowi wracać do Pragi, a cesarz toż kazał. Może-li Adalbert, sługa Boży, sprzeniewierzyć się cesarzowi a ojcu rzymskiemu? — mowa Zefridowa bulgotała, nie uchwycisz przerwy — trza, by Adalbert jechał. Powiedźcie tamok Prażanom a księdzu: biskup jest święty mąż, Krześcijanin. Co mu Libice? Bogu służy, a księdzu swemu i panu. Nie będzie Adalbert w Czechach waru czynił. Słuchać chce was, ksze, bo tako mu przykazali w Rzymie a u cesarza. I jeszcze rzeknijcie: „Ostanie Adalbert u Bolesława będzie ludził ji a namawiał na Czechy. A w Pradze będziecie ji mieć w ręku", pojmujecie Przemko?

Urwał, spojrział uważnie na nieruchomą twarz Przemka, zlodowaciał i twarzą, zamówił jeszcze szybciej:

— Tako zrobicie, Przemko, jako sułę wam. Bolko sam tak chce, wiem to, Mówił mi. A róg miejcie, pićcie na zdrowie.

Jak łasica się wsunał, jak łasica wymknał się, cichcem, skrycie. Przemko siedział jeszcze bez ruchu, przeciąknął dłońmi po oczach. We łbie się mu mąciło, ale w ten jeden dzień pojał o księstwie więcej, niżli przez tyle lat wojowania. Poczuł potrzebę pogwarki, zawołał chłopca:

— Pójdź do Stojgniewa, rzeknij mu, że chcę z nim pić w tę noc przed drogą — sam poszedł jeszcze do koni.

Gdy wrócił, było już ciemno. Odziewał się, jak na drogę. Zbroję włożył, chłopak zaciągał rzemienie, rzekł:

— Był tu kapelan Ungera, onże Herman.

— Czego chciał?

— Przyniósł wam konew srebrną, panie.

— Ostawił?

— A ino.

— I co rzekł?

— Jako Zefrid dobry mąż. Słuchajcie, panie Zefrida.

— Głupiś.

Chłopak podniósł krągły łeb, jak kulę.

— Toć nie ja. Unger.

Przemko piasnął pochylonego w ucho. Krzyknął:

— Spiesz się.

Szłom zostawił i miecz, poszedł do Stojgniewowej gospody. Wraz miod stanął a placki. Pili. Zrazu nie było o czem gwarzyć.

Potem potoczyły się wspominki. Jak byli ongi jeszcze w Bolkowej drużynie. Za Mieszki. Drużyli się w on czas, a wróda rodowa była. Ninie co wróda? — puch. A onego niedźwiedzia, coś podparł, pomnisz Gniewek?... — A na ostrokołe w Jomsborgu, ledwo zleżli w on czas z drabiny, Bolko tegdy w wodzie się nynał, a kamienie leciały, by grad; mnogo ludu nabili w on czas, sucze dzieci... — A Dzierżyk siedzi wciąż w Jomsborgu?... — Siedzi. Po łup łodziami pływa... — A u Weletów, kiej zwalili rudego stolina, pomnisz?... — A na Węgrzech nie było cię Gniewek, kiej on gród brałim, jakże się zwal on gród, nie pomnę... — I ja nie pomnę, nie było mię tam... Ejże! Pij bracie, a bacz: na drodze do Czechów zbójów pełno... — Podnosili na się oczy pijane, wesołe, czule, dobrze im było. Pół nocy przegadali, naraz Przemko spojrział na druga, zaśmiał się, uderzył Stojgniewa po ramieniu.

— Wiesz, Gniewek, myślałem-ci: jadę od Wojciecha a Bolka. A ninie wiem: i od Sobiebor a Zefrida i Ungera. Mało jeszcze od kogo.

— Jakże to?

— Sobiebor dał mi zrebca a zbroję a szczyt a miecz... Unger konew srebrną, Zefrid róg... Nawet ślizień mizerykordię dał.

Stojgniew namarszczył brwi, mruknął:

— Jakże to?

— A objaty jakie? Każdy swoje posłanie szle. Bolko nakazał: w Czechach dary bierz, a mnie gadał. Wżdy dary i tu mam, wielkie dary.

Stojgniew powtórzył:

— Jakże to?

— Było tak... — zaczął Przemko i wiodł długą opowieść tego dnia. Stojgniew słuchał, Przemko myślał: wraz drug gniewem buchnie, a ten nic: namarszczył brwi, słucha. Leżą próżne rogi od miodu, czarne strugi wyciekają na płótno, okrągła się w czarne plamy, by zakrzepła krew. Ogień na palenisku pars-

ka. Wlece się gadka tego dnia. Po ostrokołe łązi stróża, zabija zgrabiałe ręce. Dwu spotkało się, wskazują głową na płomyk w grodzie, mruczą:

— Tamci godują jeszcze — puhacz krzyczy gdzieś wdole:

— U hu hu! U hu hu!

Stojgniew podnosi głowę, milczy chwilę, a potem:

— Widzisz, psia... przygarnęli ji, suczy pomiot. Słuchaj-że: rankiem będą tu płąsy w grodzie, nie bój się. Myślisz nie wiem? Bolko ciągiem to ma: grąz pod nim i wkoło niego. Aleć i swoich ma,

ciebie... mnie... A krzyczy: ludzi brak. Ma ludzi... ej, Przemko. Nic to, tak bywa. Musi być. Wszędy lichota. A wsza-koż... nasze to księstwo! Psia... Nie damy Bolka.

Trzasnął w stół. Pijany był.

Jeszcze pili. Wkońcu Przemko wstał, chwiał się zdziebko. Powiedział:

— Czas... Przede świtem trza jechać...

Wyszli. Świat był jasny, biały. Miękiemi szerokimi płatami sypał śnieg: cichy, bezszelestny, obfity. Wały, dachy, ziemię — cały świat otulał. Pod szopą parskały konie.

Antoni Gołubiew

Jan Dobraczyński

Agonia Mokotowa

Pewnego dnia makabryczny chorał „Z dymem pożarów“ kończący popołudniową audycję polskiego radia został zastąpiony jakimś mazurkiem. Oznaczało to, że spodziewać się należy przylotu samolotów alianckich. Zaczęliśmy więc chodzić noc w noc na dyżur na skwer Dreszera. Saperzy układali krzyż z lamp samochodowych, myśmy chodzili niecierpliwie wokół placyku. Noce stały się lodowato zimne, trzęsłem się w swej przyciasnej i mocno nieefektywnej kurteczce. Z dala od Okęcia pojawiał się od czasu do czasu na niebie krótki błysk, a w parę sekund potem rozlegał się ogłuszający huk. To najcięższa artyleria niemiecka waliła na Pragę. Wtórwały jej lżejsze baterie, odpowiadał im jazgot artylerii sowieckiej. Nad naszymi głowami wędrowały po niebie w obie strony pociski artyleryjskie, kule karabinowe gwizdały nad łanem zdziczałej trawy, ostów i wybujałych rumianków. Na niebie zapalały się raz po raz rakiety: jaszkrawo błyszcząca kula pojawiała się wysoko na tle kwiazd, a potem toczyła się w dół wolno, wlokąc za sobą długi ogon zielonkawo upiornego blasku. Zwłaszcza za Puławską, w dole, pod szkarpą widziało się je ciągle. Kiedy indziej za Wisłą rozpoczynała ogień artyleria przeciwlotnicza. Czerwone kulki niby ziarenka różańca, płynęły po kotarze nieba. Noc pełna była blasków i stuków, zrodzonych przez geniusz ludzki — przez krwawy geniusz walczącej bestii, jakże nieszczęśliwej w swym zaciętrzewieniu bojowym!

Jedna i druga noc minęła bez wyniku. Dopiero coś trzeciej z kolei nocy usłyszeliśmy wysoko na niebie warkot nadlatującego samolotu. Lękając się czy to nie jest przypadkiem aparat niemiecki, który poczętuje obsługę świateł ogniem broni pokładowej, zwlekaliśmy z zapaleniem sygnału. Samolot zatoczył krąg, zawrócił w stronę miasta. Poczęły bić niemieckie „flaki“. Teraz stawało się już rzeczą jasną, że to „nasz“ przyleciał. Między zimnymi ćwiekami gwiazd zapalały się jaskrawe blaski rozrywających się pocisków. Odłamki spadały na nas, uderzając o liście drzew, niby krople deszczu. Samolot warczał znowu nad naszymi głowami. Zapaliliśmy sygnał. Smugi świateł strzeliły w górę. Ogień artylerii zagłuszał wszystko swym łoskotem. Wskoczyliśmy do płytkiego rowu przeciwlotniczego. Artyleria niemiecka gdzieś z nad Wisły skierowała na nas także swój ogień. Nie doceniliśmy tak wielkiej widoczności sygnału. Między wybuchami pocisków słycać wciąż było warkot samolotu. Nie mogłem wytrzymać w rowie: wyskoczyłem na ulicę. W tej samej chwili usłyszałem nad sobą charakterystyczny gwizd lecącej bomby. „To chyba niemiecki...“ — przeleciało mi przez głowę. Gwizd się skończył, ciężki długi kształt runął na ziemię tuż obok mnie. Metalicznie stuknęła o bruk ulicy. Pokryła go biała płachta rozwiniętego spadochronu.

Zgasiłmy sygnał. Już było po rzrucie. Przed nami leżał czarny „kontener“ z napisem „San“ — zawierający środki sanitarne. Wśród drzew willi na Tenisowej znaleźliśmy drugi, częściowo rozbity. Przez odwaloną pokrywę widać było kolby niemieckich kaemów (Anglicy rzucali nam czasami niemiecką broń) i pasy amunicji. Żołnierze, drżąc z zapалу wnosili do budynku spadał z nieba broń.

Ale potem przyzili znowu nocę. w ciągu których nic się nie działo. Przeszaleliśmy nawet wychodzić na dyżur. Audycję radiową znowu kończył żałobny chorał...

Zaczęła nas ogarniać depresja.

17 września nadeszła przesłiczna słoneczna niedziela. Jak zawsze o dziewiątej była msza w kaplicy na Szustra. Oleś czuł się lepiej dzięki opiece prof. Kucharskiego. Ciągle jednak jeszcze leżał.

Zaszedłem właśnie do niego na naszą kwatere, gdy nad dachami rozległ się głuchy ryk motorów. Skoczyliśmy do okien. Jakies nieskończone, zda się, eskadry samolotów sły w naszym kierunku. Ile ich było? Nie wiem. Na pewno całe dziesiątki. Powietrze drżało od warkotu. Kiedy zawisły nad podwórzem, poleciały spod ich skrzydeł różnobarwne kule. Białe, czarne, czerwone, żółte spadochrony. Każdy podtrzymywał coś ciemnego, wydłużonego. Czyżby człowieka? Ależ tak! — krzyczyliśmy pijani z zachwytu. — To ludzie! To żołnierze! to desant!

Sto samolotów, setki spadochronów, setki ludzi. Nagle wszystkie niepodobieństwa wydały się możliwością. Nagle wydało się nam — żeglarzom skołatanego niekończącym się rejsem statku — że ujrzeliśmy ziemię. Więc nareszcie nadchodziło to coś, czego oczekiwaliśmy, to coś najbardziej nieprawdopodobne i szalone, godne tylko fantazji, jaką się stała nasza walka, która — czuliśmy to dobrze — nie mogła się zwyczajnie zakończyć. Kto więc wie czy tym zakończeniem nie jest właśnie cudowny, kolorowy zlot na Mokotowską równinę?

Lecz krótką była nasza radość. To nie byli ludzie. Martwe „kontenery“ płynęły w dół. Miesiąc temu byłby to dar królewski, który, kto wie, czy nie załeczyłoby w losach Warszawy. Dziś był to już tylko gest — próżny gest naszych sprzymierzeńców. Sto takich nalotów nie nakramiłoby głodnej Warszawy, sto takich nalotów nie wskrzesiłoby żołnierzy padłych w walce. Sto takich nalotów nie uzbroiłoby nas tak dobrze, abyśmy się mogli oprzeć zamykającym się kleszczom wojsk von dem Bacha, generała polityka i Rohra, generała-kaprala...

A poza tym wiatr niósł kolorowe padachty coraz dalej od nas, w stronę północy. Zachodziły za domy Rakowieckiej. Spadały właśnie tam, gdzie byli Niemcy.

Próżny gest okazał się także zbytecznym gestem. Może nawet szkodliwym.

Radość zgasała. A właśnie poprzedniej soboty były nad Mokotowem niemieckie Junkersy. Nisko spływały nad dachy willi i domków, z niepojętą dokładnością rzucały swe bomby o opóźniającym zapalniku. Ten dzień kosztował nas wiele. Cały szereg wielkich bloków wzdłuż Puławskiej legł w gruzach. Zginął wtedy prof. Loth, szef sanitarny obwodu, zginął prof. Rapacki. Zginęły dziesiątki ludzi.

Byliśmy pod wrażeniem bestialskiego nalotu. Przybycie samolotów amerykańskich miało to wrażenie zmienić. Skutek okazał się zgoła inny.

Niebezpieczeństwo spiętrzało się falą. Niemcy, po zlikwidowaniu górnego Czerniakowa, przystąpili do likwidacji dolnego. Uderzenie wyszło z ulicy Podchorążych. Mimo bohaterkiego oporu oddziałów rtm. „Gardy“ i kpt. „Janusza“, siły ich zostały złamane. Wśród wielkich strat zostaliśmy zepchnięci aż pod szkarpę. Dowódca odcinka ppułk. „Waligóra“ został ranny, gdy osobiście strzelał z karabinu przeciwzołgowego do wpychających się w Puławską czołgów.

Jednocześnie Niemcy wtargnęli do fortu Mokotowskiego, zagrażając Królikarni. Dokonało się to zupełnie niespodzie-

wanie w parę dni zaledwie po dwóch wielkich sukcesach polskich: jednym z nich było wysadzenie mostku na drodze Królewskiej, drugim rozbicie taboru jednego z batalionów Dywizji im. Goeringa, który to tabor zaawanturował się zbyt blisko naszych pozycji. Poczuliśmy, że Niemcy zwrócili teraz uwagę na Mokotów. Poprzednio od strony Okęcia i Szop panował tak wielki spokój, że udawało się naszym podśluchom docierać aż do stanowisk niemieckich i przynosić wieści o panujących wśród Niemców nastrojach. Teraz pozycje niemieckie były nabrzmięte ciągłym ogniem i ciągle widać na nich było prace nad umacnianiem stanowisk. Częściej, niż dawniej, miewaliśmy także naloty Stuk. Nadlatywały ukradkiem od strony Okęcia, leciały bardzo nisko tak, aby nie być widoczne z Pragi, bo gdy się wzbily wyżej, nadlatywały na ich spotkanie zza Wisły pościgowce rosyjskie — i szybko, zataczając łuk, rzucały bomby. Ogień artyleryjski wzrastał i stawał się z dnia na dzień dokuczliwszy. Skrzypiały także „szafy“, których poprzednio prawie nie widział Mokotów.

Kontakt z śródmieściem nie było, bo choć kanał został przetkany, jego wylot na Czerniakowie znajdował się w rejonie zajętych przez Niemców. Dwoje znakomych łazików kanałowych „Karlik“ i „Marysia“, szukali wciąż nowej drogi do śródmieścia. Któregoś ranka rozmawiałem z nimi. „Karlik“ siwawy pan, „Marysia“ roześmiana kobietka — tych dwoje ludzi oddawało sprawie nie dające się ocenić usługi. Godzinami tkwili w kanałach, przebiegali kilometry podziemnych chodników, otwierali sobie wylazy tam, gdzie nie zawsze było wiadomo kogo znajdują. Którejś nocy doszli kanałem aż do placu na Rozdrożu. Tutaj otworzyła się przed nimi dziura, przez którą patrzyły na obłocnych wędrowców złociste gwiazdy: kanał był rozbity, rozkopany. Dwoje zuchwałców wylazło z rozkopiska na wierzch. Mężczyzna uzbrojony tylko w „parabelkę“, kobieta bezbronna. Postanowili dotrzeć do następnego wjazdu i kontynuować swą drogę do śródmieścia. Szli Alejami, tonącymi w ciemnościach, raz wraz zmuszani do padania, bo właśnie pociski artylerii sowieckiej biły po Szucha. Przemykali się zacieniami, unikając wzroku niemieckich placówek. Wjazdu nie znaleźli. Wtedy postanowili dojść do polskich stanowisk na 6 Sierpnia wierzchem. Lecz kiedy chcieli przejść na drugą stronę Alej, usłyszeli jak dwóch, stojących na warcie Niemców, zaczyna wymieniać między sobą uwagi, co to mogą być za ruchliwe cienie, drgające wśród opustoszałej ulicy. Trzeba było biegiem wracać do leja na środku jezdni.

Pewnego wieczoru przyszła wiadomość, że tym razem sowieckie samoloty dokonywać będą nocą zrzutów na obszarze naszego obwodu. Znak sygnałowy składał się z trzech ognisk, płonących na skwerze Dreszera. Noc była pogodna, lecz ciemna. Staliśmy z kapitanem „Brona“ i ppor. „Wołkiem“ między drzewami, nadsluchując warkotu nadlatujących aparatów. Nie czekaliśmy długo. Rozległo się pykanie dwutaktowca i nagle strasznie nisko, tuż niemal nad głową, ukazał się mały samolocik. Zniżył się tak, że widziałem, gdy zataczał łuk, światełka pokładowe. Niemcy naturalnie strzelali jak wściekli, ale mała „terkotka“ zdawała sobie nic nie robić z hałaśliwego szczeniaka „flaków“. Stałem na brzegu tego samego rowu przeciwlotniczego, co wówczas, gdy dokonywał zrzutów samolot

angielski, gdy posłyszałem szum lecącego pakietu. I znowu prawie mi na głowę spadł ciężki tłumok, owinięty sznurami. Przy tym pierwszym zrzucie spadochron wcale się nie otworzył i zawartość paki — 15 kabe — mimo, że były owinięte w miękkie „waciaki“ — uległa zniszczeniu. Byliśmy nieprawdopodobnie tym strapieni.

Na szczęście nie był to jedyny przyłot „terkotki“. Mały samolot po zrzuceniu paczki poleciał ku Rakowieckiej, pojechał serią z kaemu po stanowiskach niemieckiej artylerii przeciwlotniczej i wrócił na Pragę. Nie minęło dwudziestu minut był już z powrotem: znowu zrzucił pakiet. Tym razem zrzut dokonał się bez zarzutu: wyciągnęliśmy z „waciaka“ długi karabin ppanc.

Tak trwał przez całą noc. Pracowita maszyna raz po raz zrzuciła nam nową paczkę. Nad ranem mieliśmy tyle bogactw, że aż ogarnęło nas oszołomienie. Przez czas jakiś poczęliśmy się ludzi, że może jednak dzięki tej broni potrafimy wytrwać...

Niestety nie było nawet wiele czasu na użycie tej broni. Zbliżyła się tragiczne dni Mokotowa. Szedł na nas atak koncentryczny: Dolną ku Szkarpie, od Królikarni wzdłuż Puławskiej, od Okęcia Wiktorską. Nadchodziła tragiczna niedziela dwudziestego czwartego września, kiedy to od rana rozpoczęła się nad Mokotowem burza ognia artylerii niemieckiej. A tymczasem u nas nie umiano obchodzić się jeszcze z otrzymaną bronią. Czołgi pchały się w Puławską, a w dowództwie mokrzy od potu ludzie starali się zmontować rosyjskie granatniki i karabiny ppanc. Wprawdzie razem z bronią otrzymaliśmy pisane instrukcje, ale jak się okazało, nikt prawie nie umiał czytać po rosyjsku. W końcu znalazł się jakiś żołnierz sowiecki, nie wiem już w jaki sposób zabłąkany tu na Mokotów i on pomógł przy składaniu broni. Odeszła ona natychmiast na linię.

Ks. „Mietek“ mimo groźnej sytuacji, przygotowywał się do mszy, jaką miał odprawić w kaplicy na Szustrze. Był bardzo zmęczony. Ostatnio wszystkie noce od pierwszego zmięczenia aż do rana wędrował po liniach, spowiadał, odprawił Msze święte. Towarzyszył mu w tych wyprawach ojciec „Dominik“. Owinięci w peleryny, zakładali na plecy torbiki z przyborami liturgicznymi, kiwali mi przyjaźnie ręką i odchodzili. Rano ksiądz „Mietek“ po powrocie rzucał się może na godzinę na swój tapczan i drzemał, aż do chwili odprawiania zwykłej porannej Mszy dla wszystkich.

Byłem z nim razem w kaplicy, gdy nagle przerażająco silna eksplozja rzuciła nas na ziemię. W kaplicy zrobiło się zupełnie ciemno, byłem przekonany, że jesteśmy zasypani. Rudy pył pchał się do środka, dławiał gardło. Mimo to pomyśleliśmy obaj przede wszystkim o jednym — o Najświętszym Sakramencie, który stał na ołtarzu. Na szczęście nic się nie stało, choć to ciężki pocisk artylerii kolejowej wyrznął w dom sąsiedni.

Potem strzelanina zrobiła się tak gęsta, że nie można było odprawić Mszy. Pociśki wyły nad głowami, wybuchały na Szustrze, Bałuckiego, Wiktorskiej. Ulice nagle zmieniły wygląd: dotychczas prawie nietknięte (Niemcy nie wiadomo dlaczego oszczędzali tych kilka przecznic Puławskiej między Grażyny, która była ulicą graniczną, a Raclawicką) teraz pełne były gruzu, kawałów tynku, zerwanych płyt dachu. W pewnym momencie przyszło mi iść z poleceniem do oddziału ppułk. „Radosława“ na ulicę Odyńca. Ogień był ciągle huraganowy. W bramie na rogu Szustrze i Bałuckiego leżały jakieś ciała. Goniłem Bałuckiego, skacząc przez jakieś zwaliska. Wiktorską przechodziło się zwykle rowem, ale na to żałowałem czasu. Dalej był kompleks małych drewnianych domków w owocowym sadzie. Między drzewami codziennie wyrastały nowe groby — było ich już bardzo, bardzo dużo. Tutaj szalał wicher ognia — pociski ryły ziemię, łamały drzewa, wyrzucały w górę słupy ziemi i piasku. Dwóch żołnierzy, klęcząc w wirze huków i wstrząsów, naprawiało linię telefoniczną. Coś do nich powiedziałem, ale mój głos utonął w chaosie dźwięków. Przebiegłem Raclawicką. Małe chałupki, które miałem na drodze, zapadły się w ziemię. Na ich miejscu znajdował się osłupienie. W końcu dotarłem do lotniczej bombie. Skrajem ulicy, w miejscu wylotu na skwer. Z kolejki...

trzeba było przebiec pełen gwizdów płat zieloności. Na rogu Tynieckiej znalazłem dom, w którego piwnicy siedział oddział „Radosława“.

Powrót odbył się w równie dramatycznych warunkach. Na Bałuckiego zaszkodził mnie nalot. O — to była gorąca niedziela!

W niedzielę wieczorem został postanowiony kontratak na Królikarnię. Ukazał się rozkaz specjalny, wydany do żołnierzy, którzy mieli w nim wziąć udział. Kiedy go usłyszałem — zrobiło mi się zimno. Nie jestem przesądny, ale tutaj nie mogłem się uchronić przed nagłą depresją: akurat taki sam rozkaz był wydany miesiąc wcześniej przed samym upadkiem Starego Miasta. I tam i tutaj mówiło się, że każde dalsze cofnięcie oznacza koniec, oznacza ścisnięcie naszych pozycji do proporcji, w których dalsza obrona będzie niemożliwa. Tam pułk. „Wachnowski“, tu ppułk. „Karol“, mówili do żołnierzy: los mieszkańców dzielnicy jest w waszych rękach...

Los mieszkańców miasta... Z lękiem myślałem o tej zwłaszcza grupie mieszkańców, w której była moja rodzina. Pozostali na Starym Mieście — a o losie pozostałych nie wiedzieliśmy nic. Gdy

tylko mogłem, świadczyłem rozmaite drobne usługi innym dzieciom, z tą nadzieją, że może w ten sposób pomogę swoim. Noc z poniedziałku na wtorek była nocą grozy. Niemcy dotarli do szpitala Elżbietanek, ich czołgi wjeżdżały na skwer Dreszera. Resztki domów na Odyńca płonęły. Uciekinierzy z zajętych przez Niemców dzielnic tłoczyli się na Szustrze. Oddaliśmy z Olesiem naszą kwaterę jakiejś rodzinie. Oddałem małej zziębniętej dziewczynce swój koc. Nie spałem.

O piątą rano postanowiona została ewakuacja Mokotowa. Poprzedniego wieczoru przyszyły okólnym kanałem łączniczki, stwierdzając, że mimo porobionych w kanale barykad, przejść tą drogą można. Koncentrację kolejno mających schodzić do kanału oddziałów wyznaczono u „Boscha“ na Wiktorskiej. Pierwsi mieli iść ranni z grupy „Radosława“. O ósmej powinno się było zacząć schodzenie do kanału. Ale jeszcze o dziewiątej nikt do wjazdu nie zeszedł: przewodnik nie był jakoby gotów...

Nie wiem dlaczego, ale przy wszystkich tych kanałowych odwrotach, wydobywały się na wierzch fali wojny rozmaite mętne postaci. Na Starym Mieście by-

li to pijani żandarmi i jakaś histerycznie wrzeszcząca baba, lichy wie, na jakiej podstawie uznana za szefa całej ewakuacji. Tutaj znowu był przewodnik o wyglądzie nieprzytomnego, wysoki, miotający się bezmyślnie czy bezradnie, sierżant i znowu ziejący wódką żandarm.

Tłum ludzi czekał, aż przewodnik będzie gotów „zaś nad „Boschem“ krążyły niemieckie samoloty. Jedyną osłoną czekających była drewniana szopa, w której stało, a właściwie brykało, kilka wystraszonych wybuchami koni. Oczekiwanie przeciągało się w nieskończoność. Rozległy się wybuchy bomb straszliwie blisko. Bomby spadły na Puławską, zaraz przy wylocie Wiktorskiej. Po chwili z kanału zaczęli wychodzić z powrotem ludzie. Jak się okazało, kanał został zawałony.

Dopiero późnym wieczorem otwarty został inny wjazd na ulicy Szustrze. Gdyby Niemcy nie zrobili niezrozumiałej przerwy w działaniach wojennych popołudniu owego wtorku, nikt by z Mokotowa nie zdołał przejść do śródmieścia. Pozostawiono nam noc i myśmy z tego skorzystali. Rano pozostały na Mokotowie tylko oddziały osłonowe.

Jan Dobraczyński

ZYCIE GOSPODARCZE

Angielski finansista o robotniczym rządzie

W jednym z czasopism francuskich ukazał się wywiad z niewymienionym po nazwisku kierownikiem jednego z największych banków londyńskich na temat przygotowywanego przez rząd projektu kontroli nad inwestycjami angielskich kapitalistów zagranicą oraz wogóle oceny pierwszego w Anglii rządu, działającego z ramienia większości socjalistycznej. Treść wywiadu jest tak znamieną dla stosunków angielskich, że warto ją w głównych punktach przytoczyć.

Wspomniany projekt kontroli lokat zagranicznych jest następstwem krytycznej sytuacji, w jakiej Anglia się znalazła po nieoczekiwanym wypowiedzeniu przez prez. Trumana układu dzierżawno-pozyczkowego, cofnięcie bowiem kredytu towarowego, do którego ten układ się w istocie sprowadzał, zmusza obecnie Anglię do forsowania nie tylko wywozu

towarów, ale i eksportu „niewidocznego“ w postaci kapitałów, przynoszących wpływy z odsetek, by tą drogą zapewnić sobie dewizy na nabywanie zagranicą dóbr, potrzebnych w okresie powojennej odbudowy. Na wstępie finansista zaznaczył, że jednolita postawa, jaką zajęła cała Izba Gmin po oznajmieniu decyzji prez. Trumana, oddaje wiernie opinię wszystkich sfer społeczeństwa, nie wyłączając ośrodków londyńskiej City, które również stoją na stanowisku pierwszeństwa interesów kraju przed partyjnymi. „Jesteśmy bezwzględnie konserwatystami“ — oświadczył — „ale tym, co pragniemy przede wszystkim zachować, jest pozycja Anglii w świecie“. Kontrolę kapitałów uważa za celową, zaznaczając, że nie obejmie ona oczywiście wszystkich lokat, ale tylko pewne, przewyższające określone minimum. Z początkiem wojny rząd Churchilla usta-

lił to minimum na 10.000 funtów szterlingów, później, równoległe z polepszeniem sytuacji, podwyższył je na 50.000 i wreszcie na 100.000 funtów. Jedynym błędem obecnego rządu jest, że tego zamierzonego minimum jeszcze nie ujawnił. Niema obawy o to, by następstwem wprowadzenia takiej kontroli był spadek angielskich inwestycji zagranicznych. Co najciekawsze jednak, to opinia finansisty, że rezultatem będzie... ożywienie przedsiębiorczości prywatnej. Największe banki angielskie, znane jako t. zw. „wielka piątka“, dysponują głównie wielkimi kapitałami, przeważnie anonimowymi, udzielenie więc kredytu np. linii lotniczej w Południowej Ameryce musiałoby być uzależnione od aprobaty ministerstwa skarbu. Mniejsze banki natomiast, rozporządzające wkładami drobnych kapitalistów, na sumy z reguły poniżej minimalnej granicy, już przed wojną nie mogły wytrzymać na rynku angielskim potężnej konkurencji „grubej piątki“ i wyspecjalizowały się w operacjach na rynku amerykańskim, dużo elastyczniejszym. Teraz otwierają się przed tymi bankami świetne perspektywy i będą one mogły rozwijać w ten sposób jedną z najbardziej charakterystycznych form inicjatywy prywatnej. Objęcie kontrolą wszystkich lokat jest b. mało prawdopodobne, obecny minister skarbu Dalton jest bowiem zbyt wytrawnym finansistą, by nie doceniał znaczenia tej formy eksportu w chwili, gdy zapotrzebowanie na dewizy tak wzrosło w związku z urwaniem się kredytowanych przez U. S. A. dostaw.

Jeśli chodzi o zasadniczą postawę wobec rządu socjalistycznego, to bankowiec oświadczył: „Lepszy jest rząd oparty na zdecydowanej większości socjalistycznej i ponoszący pełnię odpowiedzialności, niż taki, który jest zależny od poparcia drobnych grup, jak np. rząd Mac Donalda i uchyla się w następstwie od odpowiedzialności. Prawdę powiedziawszy, ja, który jestem starym konserwatystą, wolę widzieć u władzy socjalistów, niż naszą skrajną prawicę, bo socjaliści są znacznie rozsądniejsi, a zdrowy rozsądek, to tradycyjny fundament angielskiej polityki. Jeśli zagranicą pewni ludzie sądzą, że City będzie obecny rząd sabotować, to oznacza to tylko, że nie znają oni Anglii. Jakikolwiekby były różnice między naszymi konserwatystami a socjalistami, co do jednego istnieje między nimi zgoda; mianowicie, że zawsze tylko jedna Anglia będzie istniała i zawsze skupią się oni dokoła tych, którzy są zdecydowani na utrzymanie jej pozycji w świecie. W 1940 r., gdy wszystko się waliło, robotnicy stanęli murem za Churchilllem. Dziś, gdy chodzi o uniknięcie takiego pokoju, któryby zrujnował wszystko, cośmy uratowali za cenę sześciu lat wojny, kapitaliści angielscy stanęli murem za Atlee“

Andrzej Łomień - Trzebiński

* * *

senne drzewa drzemią w dniach niepogody
nieruchome listowia rdzawe dzwony
szarych kminków, suchych koprów poświata
nad grodem
księżyc w dzień gdzieś w topoli
jak jemiola.

monotonnie wrona woła coś wronie
bór, kałuża mnożą wrony i krakania
— dzień dobry, cieniu własny, cóż mi powiesz?
jesteś człowiek? wiesz, to trudne do poznania!

Wieczór w śniegu

dachy śnieżne obwiesiły szklane okna
w firanek
biały błam.
miasto zmięczy centkowane w punkty lamp:
w każdym oknie miedziak dla biednego...
pejzaż późny w dziurach śniegu jak korona.

osiwiał miękki młode włosy brzoź.
rozciągnięty w perspektywach okna park
tak się skulił, że zamienił drzewa w kule.

wschód księżyc a wniebowstąpi któraś z kul.

biały konik
wpół ze śniegu biały koń
w dzwoneczkach dzieci z puszczy się wyruszy
ktoś mu gwiazdkę pocałunkiem w czoło wpiął
gwiazdkę, gwiazdy — za duże...

gwiazdy śniegu? — pocałunki czyichś ust
zamarznięte... może matki, jeszcze bielsze?...

podeptane przez przechodnia but.
gwiazdy.

lecz ty miła tak zmalała w tym wieczorze
nie narzekaj, że świat jest płaski:
w przedszkolach malowane przez dzieci obrazki
jeszcze śliczniej i jeszcze gorzej
są płaskie.

Warszawa, luty 42 r.

Międzynarodowa Kronika Gospodarcza

SZEROKI HORYZONT

Zwiąże i po prostu

Francja. Pogarszająca się sytuacja finansowa kraju jest omawiana przez prasę ze wzrastającym zaniepokojeniem, z uwagi na niewątpliwe objawy inflacji. W ciągu września i października obieg pieniężny wzrastał przeciętnie o 1 miliard franków dziennie, a od 2 sierpnia, kiedy Bank Francuski rozpoczął regularne publikowanie sprawozdań tygodniowych, do 11 października powiększył się z 442 miliardów na 513, czyli o 16%. Grozi to unicestwieniem następstw drastycznej redukcji obiegu, przeprowadzonej z początkiem czerwca w drodze wymiany banknotów, gdyż w razie zachowania nadal obecnego tempa emisji, dzięki któremu już 2/3 ogólnej sumy wycofanych banknotów powróciły do obiegu, z końcem listopada zostanie osiągnięty stan z przed reformy (580 miliardów). W pierwszym półroczu natomiast obieg wzrósł tylko z 572 na 580 miliardów, czyli o 1 i pół proc. Są to objawy groźne, skoro mimo równoczesnego powiększenia się wpływów podatkowych konto Skarbu Państwa w Banku Emisyjnym zmniejsza się prawie o te same kwoty, o które wzrasta obieg. Przyczynę upatruje się w deficycie budżetowym, opierając się zresztą z braku urzędowych danych na zestawieniu objawów. Badanie jednak elementów tego deficytu prowadzi do ujawnienia pewnych powiązań gospodarczych, których problematyka narzuca się wszystkim krajom, stojącym przed zadaniem odbudowy zniszczeń przy niedostatecznych zasobach, zwłaszcza aprowizacyjnych.

Wszystkie te elementy deficytu sprowadzają się do różnych stron tego samego zjawiska: zwyczajnie cen wszelkiego rodzaju. Rząd francuski przyznał wysokie subwencje rolnictwu, w szczególności na sfinansowanie zbiorów (w tym np. 12 miliardów na winobranie), wypłacił za pomoci zdemobilizowanym żołnierzom, ustąpił przed żądaniem zwyczaj płac. W rezultacie wzrosło zapotrzebowanie na pieniądź, zarazem jednak koszty wyścigu cen i płac ponosi skarb, gdyż pieniądź „wsiała” w rynek, nie powracając na konto skarbu w instytucji emisyjnej, która go puściła w obieg. Równocześnie opornie postępuje subskrypcja bonów skarbowych. Gra tu rolę brak zaufania, wynikający z obawy przed „inkwizycyjnymi metodami” rządu w stosunku do podatnika, jak np. w okresie wymiany banknotów nakaz ujawniania posiadanych bonów skarbowych wbrew formalnym zobowiązaniom państwa, zaciągniętym jeszcze 25 lat temu i stale dotąd honorowanym.

Punkt ciężkości zagadnienia spoczywa jednak na wydajności produkcji, tylko bowiem wyprodukowane dobra i nadwyżka wartości, tą drogą zrealizowana, umożliwiają powrót pieniądza do źródła, z którego wypłynął na rynek. Trudno jednak mówić o wydajności, jeśli produkcja nie jest oparta na racjonalnej kalkulacji kosztów. Tu zaś tkwi istota błędu, w jaki szczególnie łatwo popaść przy systemie gospodarki, kierowanej przez państwo, czy też wprost i bezpośrednio państwo: polega on mianowicie na oszczędzaniu przedsięwzięć, produkujących ze stratą, które przed wyprodukowaniem w kryzysu z reguły były zmuszone zawiesić produkcję. Obecnie przemysł francuski cechuje paradoksalna tendencja utrzymywanie za wszelką cenę zakładów przestarzałych i nieopłacalnych, czego rezultatem jest oparcie kalkulacji cen na kosztach najgorszego producenta, który normalnie dawno uległby likwidacji. Łączy się z tym bezpośrednio wzmożenie wpływu wzrostu płac na ceny, gdyż z natury rzeczy najsilniej wystąpi on w zakładach, drogo produkujących. Stąd też podkreśla „La Tribune Economique”: „Trzeba mieć odwagę stwierdzić, że w kraju, którego obecna produkcja stanowi 40% wydajności w 1938 r., żaden zwarty i racjonalny system cen nie może zapewnić słusznego wynagrodzenia za pracę i równocześnie zysków całości przedsiębiorstw i pośredników.”

Niemcy. „Agence Francaise de Presse”, powołując się na wiarygodne źródła, oblicza obecne długi wszelkiego rodzaju — z pominięciem oczywiście odszkodowań — na 400 miliardów marek. Obieg pieniężny sięga 70 miliardów, a łącznie z banknotami „okupacyjnymi”, wypuszczonymi przez władze sojusznicze, około 100 miliardów. Koszty okupacji pociągają za sobą dalszy wzrost zadłużenia. Wpływy podatkowe, zredukowane na 40—50% normalnych, nie przewyższą 14—17 miliardów. Pewne „koła berlińskie” proponują jakoby uregulowanie długów w ten sposób, że zostałyby spłacone 2 i pół % całości, czyli 10 miliardów, co odpowiadałoby płynnemu zadłużeniu Rzeszy w chwili dojścia Hitlera do władzy. Dług ten wzrósłby w ciągu najbliższych lat na 20 miliardów w związku z kosztami programu budowy mieszkań.

Z powodzi artykułów i wypowiedzi o nośności energii atomowej i jej zastosowania, tygodnik amerykański „Time” wyraża następujących kilkanaście uwag, które z uwagi na ich rzeczowe podejście do zagadnienia, podajemy bez komentarzy.

1. Wojenne możliwości zużycia energii atomowej będą zawsze przystępniejsze do pokoju, kiedy świat będzie pewien, że może kontrolować broń, wykorzystującą tę energię. Materiały używane w zakładach wykorzystujących energię atomową, mogą być z łatwością przetworzone na bomby.

2. Nie ma możliwości wojskowej, albo naukowej obrony, przeciw bombie atomowej.

3. Rozproszenie miast jest chyba jedynym sposobem, o którym można mówić, gdyby szukano mimo wszystko możliwości obrony. Jednakże wykonanie planu, rozmieszczającego odpowiednio ludność Stanów Zjednoczonych i kluczowe przemysły, kosztowałoby 250 milionów dolarów.

4. Przewiduje się zwiększenie ładunków atomowych. Obecnie bomby atomowe mogą być zrzucone z samolotów, a także być produkowane w dowolnych kształtach.

5. W ciągu godziny bomby atomowe mogą zabić 20% ludności. W ostatniej wojnie światowej nie było narodu, któryby przez działania wojenne stracił więcej niż 10% swego stanu liczebnego.

6. Bomba atomowa nie jest osłonięta wielką tajemnicą. Stany Zjednoczone

znają same kilka technicznych metod produkcji, ale inne narody mogą dojść do nich w ciągu kilku lat.

7. Wszystkie większe mocarstwa mają dostęp do surowców, niezbędnych do produkcji bomby atomowej. Uran jest szeroko rozprzestrzeniony na kuli ziemskiej, a także przewiduje się możliwości produkcji broni atomowej z jeszcze bardziej powszechnych surowców.

8. Koszt broni atomowej nie jest odstręczający. Każde państwo, które może sobie pozwolić na utrzymywanie większej armii lądowej lub marynarki wojennej — stać także na korzystanie z broni atomowej.

9. Zniszczenie wojennej produkcji nieprzyjaciela przestało być handicapem w prowadzeniu wojny atomowej. Oczywiście, 200 bomb ma większe znaczenie niż 100, ale 10.000 nie posiada większej przewagi niż 5.000, ponieważ 5.000 bomb atomowych może zniszczyć wszystkie ważne cele w całym kraju. W konsekwencji małe, stosunkowo biedne państwo, może pokonać większe i bogatsze.

10. Broń atomowa zachęca do agresji, ponieważ wielokrotnie powiększa znaczenie czynnika zaskoczenia.

11. Międzynarodowa kontrola będzie niesłychanie trudna. Inspektorzy-rzeczosurowców przez wszystkie stadia, co będzie wogóle niemożliwe w państwach chcących uniknąć kontroli.

12. Opublikowanie szczegółów badań nad energią atomową usunie podejrzliwość, ale pełna państwowa lub międzynarodowa kontrola jest wykluczona.

Trochę optymizmu

Po tej, jak widzimy, niewesołej perspektywie, musimy przytoczyć także opinię wyrażoną przez słynnego amerykańskiego konstruktora lotniczego Aleksandra Seversky'ego (autora zasadniczej pracy „Zwycięstwo przez siłę powietrzną”). Wywody jego streszczają się w następujących punktach.

Wiele tajemnic powodzenia bomby atomowej w wojnie przeciw Japonii kryje się w lekkiej konstrukcji jej miast. W stalowo-betonowych miastach amerykańskich bomba nie wyrządziłaby większych szkód niż 10-tonowa bomba burząca. Dalej Seversky twierdzi, że 200 nadfortec wyrządziłoby te same szkody, zwyczajnymi bombami, co bomby atomowe na terenie Japonii. Reasumując, zdaniem tego rzeczoznawcy, siły powietrzne są dalej argumentem strategicznym. „Oczywiście — powiedział Seversky — nie możemy przewidzieć, co nam jutro przyniesie. Bowiem może nadejść czas, kie-

dy użycie bomby atomowej nie będzie związane z koniecznością zrzucania jej z samolotów. Ale w obecnych okolicznościach my musimy mieć kontrolę nad przestworzami”. Jeśli o nas chodzi, to czytając te najróżnorodniejsze wypowiedzi, sprzeczne i obalające przeważnie jedna drugą, możemy powiedzieć wzorem antycznych filozofów, że wiemy tyle tylko, że nie nic nie wiemy. Z tego też względu uważamy pogodny tytuł, jaki nadaliśmy tym rozważaniom, za nieco przedwczesny. Ostatecznie byłoby nam wszystko jedno, czy mamy zginąć od 10-tonowej bomby pana Seversky'ego, czy od atomówki, produkowanej przez jego konkurencję. Mamy poprostu nadzieję, że może choć tym razem instynkt mądrości narodów weźmie górę nad rzeczywistością, czy urojonymi ambicjami i konfliktami.

To właśnie pozwala nam na trochę optymizmu...

Na najlepszej drodze

Winston Churchill, którego obrazowe określenia wejdą na pewno do międzynarodowej frazeologii, wyraził się kiedyś, mówiąc o Niemcach, że albo skaczą czło-wiekowi do gardła, albo leżą u jego stóp.

Zdaje się nam, że tę drugą fazę mamy już dawno za sobą i że teraz Niemcy podnoszą zgięty kark, zezując z podejła na gardło następnym ofiar i wybierają sobie dogodną do skoku pozycję. Coraz

częściej zachodzą w okupowanych Niemczech wypadki przeciągania przez szosy drutów — pułapek na alianckich motocyklistów. Coraz częściej mnożą się napały na jadących pojedynczo żołnierzy i coraz butniej zachowują się wczorajsi pokorni słudzy wobec zwycięzców. Namnożyło się ostatnio sporo rozmaitych towarzystw śpiewaczych, zjednoczeń antyfaszystów, klubów sportowych. Trzeba dodać, że refrenem nuconym nagminnie w tych towarzystwach śpiewaczych, jest pieśń o odwecie. Antyfaszyści, przeważnie są nimi od dnia kapitulacji Niemiec i wielokrotnie jednoczą w swych szeregach zbłąkane, czarne owieczki z pod znaku SS, a kluby sportowe trenują zawzięcie, w oczekiwaniu nowych, wspólnych zawodów na wielkim boisku — Europie i wielkiej pływalni — siedmiu oceanach świata.

Powodem tego coraz lepszego samopoczucia narodu panów jest bezsprzecznie ustosunkowanie się do nich narodów zwycięskich, a specjalnie naszych zachodnich sprzymierzeńców. W epoce „bratania się” z Niemcami stosunek do przebywających jeszcze w Niemczech Polaków również w niektórych wypadkach pozostawia wiele do życzenia. Do podobnych wniosków doszła ostatnio również i prasa brytyjska, że zacytujemy choćby poważny tygodnik „The Economist”. Piśmo to, poddając analizie stosunki polsko-brytyjskie, stwierdza, że jednym ze źródeł istniejących zadrażeń jest „...traktowanie obywateli polskich w strefie brytyjskiej w Niemczech. W ubiegłych miesiącach — pisze dalej „The Economist” — brytyjskie trybunały wojenne sądziły i wydały wyroki na znaczną liczbę Polaków, którzy zakłócili porządek publiczny w Niemczech. Największy z tych procesów miał miejsce we wrześniu w Paderborn — 43 Polaków było tam wtedy sądzonych i wydano kilka wyroków śmierci. Proces w Paderborn wywołał falę szczerego oburzenia w Polsce, gdzie traktowanie polskich państwików jest uważane za niesłychanie srogie i nawet nie — fair. Można było pominąć ten polski krytycyzm, gdyby nie było faktem oczywistym, że Polacy przeciwstawiają traktowanie swych współrodaków z procedurą stosowaną w procesie zbrodniarzy z Belsen. W obu wypadkach liczba oskarżonych była ta sama; ale kiedy proces morderców z Belsen przeciągnął się w nieskończoność i kaźdemu niemieckiemu oskarżeniu dana była sposobność pełnego przedstawienia swej sprawy, proces w Paderborn trwał zaledwie trzy dni. Oskarżeni w procesie mordercy z Belsen byli bronieni przez kilku oficerów brytyjskich, podczas kiedy Polaków bronił tylko jeden, niższy polski oficer z niedostateczną znajomością języka angielskiego — żądanie Rządu Polskiego o dopuszczenie jego przedstawicieli, nie zostało uwzględnione”. Jak widzimy, czasopismo angielskie przedstawia sprawę bezstronnie i ukazuje w odpowiednim świetle prawdziwą skalę porównań, w traktowaniu tych, którzy przez lata byli niewolnikami w Paderborn, uprowadzeni tam na ciężkie roboty, a tymi, którzy przez lata byli katami Europy w Bergen-Belsen, gdzie znaleźli się z własnej woli, dla zaspokojenia swych zbrodniczych instynktów.

Niemcy wyczuli również i zrozumieli prawdziwy sens tego porównania, wyciągając z niego dla siebie wnioski, mogące w konsekwencji stać się nieraz źródłem wielu kłopotów dla brytyjskich władz okupacyjnych. To na teraz. A później? Niemcy są na najlepszej drodze do odzyskania podstawy swej ekspansyjnej siły — pruskiej buty. Doświadczenia, dokonane przez nas i przez cały świat, a tak ciężko zapłacone, pouczają nas, że od butnych mów w monarchijskich knajpach do Machtuebernahme i wojny, jest tylko jeden krok. Trzeba to przypomnieć i powiedzieć otwarcie już teraz, kiedy są jeszcze w Niemczech potężne armie okupacyjne. Inaczej, ofiara złożona na ołtarzu wolności przez młodzież całego świata, pójdzie i tym razem na marne.

Wilk

OD ADMINISTRACJI.

Z powodu dużych kosztów nakładu i kolportażu przewidujemy zwiększenie ceny tak pojedynczego numeru, jak i prenumeraty. Nastąpi to prawdopodobnie z końcem b. m.

Do chwili ogłoszenia zmiany, cena prenumeraty wynosi: mies. zł. 21.—, kwartalnie zł. 60.—.

Prenumeratę prosimy przysyłać na nasz adres: Marszałkowska 81 m. 17.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bienkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12,

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 21 złotych. Kwartalna 60 złotych.

Złożono w Zakładzie Graf. „Dzwignia” Widok 24 P 03900

Odbito w Drukarni „Czytelnik” Nr. 2, Marszałkowska